Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce

skreślił

C. J. Kochanowski.

(Ciąg dalszy.)

Kradzież zwierzyny karaną była surowiej, jak inna, uważano ją bowiem u nieuprawnionych jako wyższą demoralizacyą, jako karygodne próżniactwo i szukanie nieprawego zysku. Kradzież drzewa łagodzono w wymiarze kary konieczną jego potrzebą. Ludwik Święty był szczególnie w łowach z psami rozmiłowany, sprowadzał je nawet z Tartaryi. Filip Śmiały polował z sokołami, a Karol IX. napisał dzieło: „*La chasse royale*“. Również chętnie zajmowali się łowami Henryk IV. i jego potomkowie. W Austryi słynął dom Habsburgski gorącem oddawaniem się myśliwstwu. Z rodu tego znaczy się w kronikach postać Maxymiliana I. On jest powodem sławy skały św. Marcina. Podczas pobytu u kuzyna swago arcyksięcia Zygmunta w Tyrolu zapędził się za kozicą na skałę, z której zaledwie dnia trzeciego z pomocą szukających go zejść zdołał. Fantazya ludu ubarwiła ten wypadek w szatę cudu. W r. 1500 założył on w Laxenburgu zwierzyniec, który aż do czasów Karola VI. istniał. On też ogłosił ustawy myśliwskie, które służyły następcom jego jako podstawa późniejszego ustawodawstwa łowieckiego. W celu łowów głównie założył Maxymilian II. dzisiejszy Prater i letni zameczek Schönbrunn. Łowy były przyczyną śmierci jego pierwszej żony.

Prawo polowania było własnością możnych, następnie tylko panujących, wreszcie wróciło znowu do pierwszych. We Francyi wrzał z tego powodu w r. 1483 spór między królem a szlachtą, która w końcu uzyskała prawo polowania w swych posiadłościach. Nieszlachcie było polowanie zupełnie wzbronione, a przestępcy schwytani na gorącym uczynku poraz drugi, karani byli śmiercią. Jako broń służyły kończaste spisy, które już w czasach rzymskich wyrabiano z żelaza, prócz tego łuk, topór i nóż. Drobną zwierzynę łowiono w sidła i sieci, których i na większą używano, a zabijano strzałami często zatrutemi, które Gallowie już znali, a Litwini dopiero za wpływem kniazia Glińskiego porzucili. Używano też do łowów sokołów i psów, które ostatnie szczególnie wielką usługę przynosiły, starano się też o dostatnią ich liczbę i dobór.

II.

Rzuciwszy kilka pobieżnych rysów o pierwotnem łowiectwie u innych narodów, który wstęp zdawał mi się być niezbędnie potrzebnym, przystępuję do obszerniejszego, lubo może nie wyczerpującego, wywodu myśliwstwa w Polsce.

Poprzedzić go wszakże muszę poglądem ogólnym na słowiańszczyznę.

Rozległa przestrzeń północno-wschodniej Europy zamieszkaną była przez rozliczne szczepy słowiańskie. Pierwotna słowiańszczyzna, osiadła obok plemion germańskich, a na południu greckich, bardzo mało znaną dyła ówczesnemu światu. Najdziwaczniejsze też podania i powieści krążyły o Słowianach, przedstawiano ich sobie jako półdzikich, w potwornych postaciach. Dopiero z czasem odsłaniają się ich dzieje. Naród ów dzielił się na szczepy, szczepy na gminy, a gminy na rody. Na czele rodu, składającego się z ludzi pokrewnyeh sobie, stał ojciec familii, wódz w razie wojny, który w sprawach ważnych wzywał na radę najstarszych wiekiem. Mienie było wspólne, a tylko dziewice, przechodzące małżeństwem do innego rodu, dostawały wiano. Był to lud rosły, dorodny, gościnny, miłujący domowe ognisko i ziemię rodzinną, śmiały, waleczny-rolniczy. Słowianin, zajęty przeważnie rolnictwem i chowem bydła, obcujący z przyrodą, działającą potężnie na ducha ludzkiego, musiał przejąć się silnem uczuciem religijnem. Pierwotną wiarą Słowianina było jedynobóstwo, później wytworzyły się inne bóstwa, głównie z przyrody wzięte. Bogom stawiano posągi, świątynie, poświęcano im lasy i gaje, śmiercią karano bezbożników. Bogom poświęcano drzewa, Prowe miał dęba. Kapłanów podnoszono nad książąt. W szczególniejszem poszanowaniu były dęby, zwłaszcza rozłożyste, z grubymi konarami. Bogom poświęcano pewne dnie i czczono je uroczystymi obrzędami, jak święto Marzany, połączone z topieniem posągu, święto Kupały, dzisiejsze Sobótki Górali Tatrzańskich, i mnogie inne jak obrzynek, kolada i t. d. Bogini Dziewanna, Dziewonia, równorzędna greckiej Dyanie, opiekowała się lasami i zwierzętami, na jej cześć odbywano igrzyska, wierzono, że miejscowości jej poświęcone wolne były od wszelkiej zarazy. Radegost, bożek właściwie gościnności i podróżnych, był patronem myśliwych, składano mu w darze, celem uproszenia powodzenia na łowach, rogi zabitych zwierząt, ołtarze jego przystrajano rogami, wróżono klęski, mające spaść na kraj, gdy kapłani jego spostrzegli dzika, idącegó od stron nadmodrskich. Należał on do bóstw niższego rzędu i czczono go pod rozmaitemi postaciami. Bożek Swantewit przedstawiany był z rogiem groźnego zwierza w prawej ręce. Róg ten napełniał kapłan corocznie miodem, a z ubytku miodu wróżono pomyślny lub nieszczęśliwy skutek zamierzonego celu. Świątynie bogów były ogniskiem zbiorowem Słowian, „zarazem ogniskami społecznego życia“, jak mówi Szujski (Dzieje Polski. Tom I.).

Pierwotna Słowiańszczyzna była patryarchalną, z czasem jednak, gdy pojedyńcze rody wzmogły się w znaczenie i siłę, pod wpływem naporu nieprzyjaznych sąsiadów, poczęło się ustalać jedynowładztwo, a wraz z niem kastowość. Odtąd rozróżniano: kmiecia, wojownika, szlachcica. Na czele stanął król, król słowiański, odmienne mający znaczenie, jak u innych narodów. Feodalny król germański, naczelnik swej drużyny, był źródłem wszelkich zaszczytów i władcą całego kraju, rozdzielonego w lenno *(feudum)* między wasalów. Słowiański król, jako reprezentant woli i potrzeby narodu był tylko gospodarzem, administratorem narodowego majątku.

Słowianin oddany pasterstwu nie miał stałych siedzib, przenosił się wraz z dobytkiem swoim według potrzeby z miejsca na miejsce, gdzie dla bydła swego dostatek znajdował żywności, a gdy ustalił się w jakiej siedzibie, oddawał staranie około nowej sadyby kobiecie, sam zaś oddawał się łowiectwu. Przestrzenie zajmowane przez pokolenia słowiańskie pokryte były ogromnymi lasami, puszczami leśnemi, z których jako pamiątka ledwie puszcza Białowieska pozostała. Tu rozmnażała się swobodnie wielka liczba dzikiego zwierza. Były żubry, tury, łosie, jelenie, dziki, koziorożce, suhaki, sarny, bobry, niedźwiedzie, wilki, lisy, rysie i t. p., ptactwo błotne i wodne. Wstręt miał Słowianin do wojny, raczej ustąpił, jak podjął walkę. Seminokrates, historyk VI. wieku opowiada, iż w czasie pobytu cesarza Maurycego w Tracyi przywiedziono przed niego dwóch gęślarzy słowiańskich, którzy mówili, że kraj ich dotyka kresu morza zachodniego, nie zna żelaza, lubi arfę, nie wie, co to broń, i że prócz drobnych zatargów nie ma tam nigdy wojny. (A. Tyszyński. Rys hist. Słowian.) Zmuszony koniecznością wyruszał, czyniąc ofiary bogom w celu uproszenia pomyślnego skutku wojny, a powróciwszy z niej, składał znowu ofiary dziękczynne za szczęśliwy powrót w rodzinne strony. Z tego umiłowania spokoju i domowego ogniska korzystali sąsiedzi wkraczając w słowiańskie siedziby. Pierwsi z nich byli Germanowie i śród krwawych walk z nimi wynurza się z ogólnej Słowiańszczyzny nazwa osobna Polaków, Polski, jako głównej zapory teutońskich zapędów.

Od Łaby na wschód ku Dnieprowi osiedli Łęczycanie, dalej Polanie, których Tacyt nazywa „Lygii“ i „Polani“. Nazwy „Lygii“ używał kronikarz XII. wieku Witykind, a Ptolomeusz zowie mieszkańców z nad Wisły „Bulanes“. Nazwa „Lachy“ oznaczała stan rycerski, przewodzący Polanom, jakoż rycerstwo przyjęło później miano Polanów. Najdawniejsze wzmianki o ziemiach, zwanych później Polską, znajdujemy u klasycznych pisarzy. Już w czasach przedhistorycznych zajmowali Polacy ziemie nadwiślańskie, wspominają bowiem o nich Tacyt i Ptolomeusz, opisując dzieje Germanów z I., II. i III. wieku. Średni ten pas Europy wschodniej zwano krajem Hyperboreów, a później Scytyą w ogóle, zmienioną z czasem na Sarmacyę „*Scytharum nomen transit in Sarmatas*“. Plinius IV. 12.

Z kroniki Mateusza herbu Cholewa dowiadujemy się, że Słowianie rozmaitym podlegali ludom, a Maciejowski powiada: „Opuszczając nas, każdy zostawiał w darze co miał najlepszego, czem nie mało pokrzepił nasze siły omdlałe pod żelaznem berłem srogiego zwycięzcy. Scyta zostawił pomysły o gospodarstwie rolnem i łączących się z niem prawach własności; Sarmata do konia przykuty podał myśl o konnem rycerstwie, którem następnie wiele dokazując Sarmatów nazwę uzyskaliśmy od obcych; Celtowie i Germanowie na rozwinięcie władz umysłowych wpłynęli....“ Przedstawicielem władzy był, według podania, Lach, który przez lasy hercyńskie wszedł do ziem Polski. Nestor opowiada, że Słowianie, którzy się Lachami zwali, przyszli nad Wisłę z nad Dunaju, „słowiani oni przyszedsze siedosza na Wiśle i prozwawsza sia Lachowe“. Po wygaśnieniu rodu Lecha następuje 12 wojewodów. Krakus panuje w Polsce i Czechach i przenosi stolicę do Krakowa, po śmierci jego i Wandy obejmują rządy znowu 12 wojewodów aż do Przemysława, który podstępem pokonawszy nieprzyjaciół, stał się jedynowładcą. Po nim nastąpili Leszek I., Leszek II., obrani wolą ludu przy wyścigach. Leszek III. rozdziela ziemię na 24 części, oddając Popielowi (Pompilius) pierwszeństwo. Popiel przenosi stolicę

do Gniezna, potem do Kruszwicy. Popiel II. zabija w skutek porady żony stryjów, sam pożarty przez myszy; synowie pomordowanych wzbraniają się uznać linię Kruszwicką. Piastowie Ziemomysł, Leszek IV., Ziemowit odzyskują rozdarte części, wreszcie Bolesław Chrobry łączy je w jedną całość. Taka treść dziejów pierwotnych Polski, prostowana dzisiejszemi badaniami.

Polacy zachowali wszystkie cechy Słowian, zawsze uzbrojeni. Kraj przez nich zajęty dzielił się na powiaty, powiaty na sioła, sioła na gminy i rodziny. Polak był czynnym, zabiegliwym, oddawał się rolnictwu, a w wolnych od pracy i wojny chwilach myśliwstwu. Kobiety przędły, szyły i tkały materye dla swych mężów, synów i braci. Były to czasy patryarchalne, o których późniejsi pisarze z żalem wspominają. Z czasem wpływy Zachodu zmieniły obyczaje, a „gdy uboga szlachta wielkopolska przestawała na swoich chodaczkach, na czarnej skórzanej zbroi i pięciu groszach od każdego policzka, wielmożni panowie małopolscy zbroili się, stroili, wiedli żywot z cudzoziemska.....“ — powiada Szajnocha.

III.

Początkowo była swoboda łowiecka zupełnie nieograniczona. Słowianin mógł, gdziekolwiek chciał, zapędzać się za zwierzem, nie było bowiem jeszcze uregulowanej własności gruntowej, ani też wybitnej różnicy stanów. Z czasem jednak zmieniły się te stosunki. Od wieku IX., a zwłaszcza od czasów Bolesława Chrobrego, przechodzi prawo łowieckie wyłącznie na panującego, on tylko mógł wszędzie swobodnie zajmować się łowiectwem i rybołowstwem. Lasów nie wolno było wycinać, aby nie wypłaszać z niego zwierzyny. Dzierżawy lub spuścizny nie miały prawa polowania i rybołowstwa, chyba że władca zrzekł się tych praw. Naruszewicz zapewnia, że prawo łowieckie nie przysługiwało nawet właścicielom ziem dziedzicznych. Wprawdzie Maciejowski zaprzecza temu twierdzeniu, przywodząc fakt, że król musiał sobie wyrobić prawo polowania w dobrach kapituły Poznańskiej i w odwet zobowiązał się oddawać kapitule jakąś część ubitej zwierzyny. Przykład ten jednak nie daje pewności, że w istocie prawo polowania było prywatną własnością, w tym bowiem wypadku mogła kapituła prawo łowów dawniej od królów uzyskać tem bardziej, że, jak wiadomo, średnie wieki odznaczały się gorliwością w obdarzaniu duchowieństwa, i że czasy były jeszcze niedawne, kiedy chrześciaństwo do Polski wprowadzono. Kadłubek dziwi się, że słudzy Mieczysława Starego pociągali do sądów ubijającego zwierza na swym gruncie, i karę s i e d m n a d z i e s t a mu wymierzali. Maciejowski usprawiedliwia to naruszeniem cudzej własności i chciwością władcy; nam się jednak przedstawia ta rzecz odwrotnie, kara to była za przywłaszczenie sobie prawa łowiectwa. O prawie własności królewskiej świadczą nadania, przyznające lub odmawiające prawa polowania na gruntach, jak również i to, że w czasach Bolesława I., Mieczysława II. i Kazimirza skarb królewski, nad którym po grodach czuwali kasztelanowie, miewał dochody z lasów, wód, puszcz i myśliwstwa, stanowiące podatek pod ogólną nazwą „leśne“ i podatek specyalnie rybny „mech“.

Dobra ziemskie wraz z zamkami, wsiami i wszelkimi przychodami, były aż do podziału między synów Krzywoustego, własnością panującego. Wprawdzie Bolesław Chrobry wytworzył już był pewien rodzaj własności gruntowej w ten sposób, że ziemię pod warunkiem służby wojennej rozdawać począł, lecz ten rodzaj własności nie przyznawał prawa polowania. Dla nadzoru myśliwstwa postanowieni byli, pod nadzorem kasztelanów „Łowczowie“ *(venatores)*. W wieku XIII. był to urząd ziemski. Gallus nadmienia, że Bolesław Chrobry utrzymywał łowców i ptaszników, od obcych nawet narodów ściąganych, a w rzędzie dostojników jego dworu był także „*Venator*“. Były rozmaite stopnie w hierarchii łowieckiej. Ptasznicy *(Aucupes)* i łowczowie *(Venatores)* należeli początkowo do niższych urzędników, do których np. stolników, podczaszych, komorników i t. p. zaliczano. Na czele myśliwstwa stał najwyższy łowczy *(Venatorum magister, summus venator)*, po prowincyach zaś i powiatach byli podrzędni: *Venatores aucupes*, łowczowie i podłowczowie. Do strzeżenia zwierzyny i lasów królewskich byli „gajowi“, najniższy stopień w hierarchii łowieckiej. Prócz tych znano też łuczników *(sagittarii*, sieciarzów *(retiferi)*, komarzów *(agazones)*, sokolników *(falconarii)*, psiarzy, bobrowników *(castorearii)*. Ostatni byli to ludzie na kmiecich łanach osadzeni, z przeznaczeniem strzeżenia i łowienia bobrów, na które król tylko polował Dalej byli strzelcy, którzy prócz posług myśliwskich przyrządzali sieci, kotłowi, za Bolesława Wstydliwego w roku 1254 ustanowieni, „ślednicy“, którzy sami lub z psami tropili zwierzynę i składali o niej raporta, osocznicy, obławnicy i t. d.

W celu zachowania zwierzyny w odpowiedniej ilości nie wolno było lasów wycinać, ani też polować bez wyraźnego zezwolenia książęcego. Wszelka ubita zwierzyna była własnością księcia, szczególnie „*aspergilia*“, skórki zwierzęce.

Ziemianie i szlachta musieli płacić „poradlne“, „podworowe“, dawać „przewody“ i noclegi, strzedz grobel, mostów i haci, dawano też „osepy“, „sep“ t. j. pańskim koniom po stacyach siano, owies i inne potrzeby; miód, kury, woły, pogońców, gdy książę polował, karmić jego psy i myśliwych. Rzeźnicy dostarczali ochłapów i głów bydlęcych, wątroby dla sokołów. Powinności te wykonywano w stosunku do posiadanego gruntu i liczby dymów. We wsiach i po miasteczkach każdy posiadający włokę gruntu obowiązany był dawać w razie potrzeby dwa konie, do obławy zaś, stawiania sieci i pilnowania parkanów wychodził jeden mężczyzna z dymu. Żaden z urzędników królewskich nie mógł poddanych od tych powinności uwolnić.

Obowiązkiem też było utrzymywać parkany myśliwskie lub siecie w dobrym stanie, w tym celu dostarczał każdy dym corocznie oznaczonej długości sieci lub pewną ilość konopi. Były to niemałe ciężary, „dolegało też szlachcie — mówi Kromer — myśliwstwo za Bolesława“. Ziemianie obowiązani byli strzedz gniazd sokolich, zbiegłe gniazdowniki łapać i karmić. Opornych karano, a grzywny wpływały do skarbu książęcego.

Na Litwie były w zwyczaju tak zwane „Dziakli“, daniny siana, drobiu i t. p. W Polsce zwano je „Pomocne“, zniósł je Henryk Brodaty. Dziakle przemieniono później w inne powinności. Kazimirz Jagiellończyk uwolnił szlachtę w r. 1457 od Dziakli. Przywilejem Zygmunta z r. 1506, danym Antonowi i Stefanowi z Wasilczek, zamieniono Dziakle w służby łowieckie, które polegały na: 1) pilnowaniu puszczy; 2) nie nadużywaniu wolnego wrębu; 3) strze-

żeniu zwierza i niedozwalaniu nikomu polowania; 4) dozorowaniu bobrowych gonów.

Były wsie „Łowcze“, których mieszkańcy „na łowach siedzą“, z włoki osiadłej po 30 groszy składać, z wolnych włok sami na wojnę ruszać musieli, „a na imię strzelcy mają“ (r. 1578) (Albertrandi). Przez wsie „Łowcze“ stawało się myśliwstwo środkiem kolonizacyjnym, i nie mała liczba osad zawdzięcza swe powstanie owym wsiom „Łowczym“. W celu pilnowania kniei, zwierzyny, sokołów, utrzymania psiarni, osadzano ludzi po wyrębach. Z nich tworzyły się później większe osady, a nawet miasta, jak np. Brzeg, stolica Piastów szląskich, datująca swój początek od założenia zamku myśliwskiego w r. 1096. W mieście tem zmarł przy końcu XVII. wieku ostatni potomek Piastów, udzielny książe Szląska Grzegorz Wilhelm, który w roku 1672 ustanowił był order myśliwski złotego jelenia. Łowom też, jak twierdzi podanie, zawdzięcza Wilno swój początek.

W późniejszych czasach wyjmowali niektórzy książęta dobra duchowne, nie wolne też od tych ciężarów, z pod ogólnych prawideł. Konrad Mazowiecki przywilejem dla klasztoru w Łubieniu uwalnia ten klasztor od wszelkich powinności myśliwskich, „*ab omni conservatione equorum, canum, falconum, aucupum venatorum*“, „by się nie zdawało, że rzeczy święte obracają na psy“.

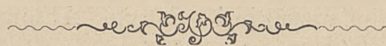
Podatki były albo pieniężne *(solutiones)*, albo w droższych przedmiotach, jak np. skórkach zwierzęcych. Koszta sądowe opłacano do Kazimierza W. skórkami zwierzęcemi. Futra pobierano z roli, na której osadnicy żyli (Maciejowski Pamiętniki). Duchownym jako dziesięcinę dawano w Płockiej diecezyi kuny, popielice lub wiewiórki, co bulla Grzegorza IX. w r. 1232. zniesła.

Ponieważ prawo polowania było własnością książęcą, wymierzano przeto kary na samowolę myśliwską. Kary te były nawet nader surowe. Jeszcze za Mieczysława ubijający zwierzynę pociągany był do sądu za obrazę majestatu książęcego i karany grzywną „siedmnadziesta“, „pietnadziesta“, lub nawet utratę majątku. (Długosz, Bandtke). Mieczysław Stary (Kromer, tłum. Błażowskiego, str. 320) „o lekką przyczynkę, jako o zabicie nieźwiedzia, jelenia, albo o pojmanie sarny, złupieniem dóbr ludzie karał, gdyż wonczas samemu tylko książęciu we wszystkiej Polszcze łowy służyły“. W późniejszych jeszcze czasach oznaczono nawet karę śmierci na nieprawnie polujących. Pierwszy Statut Litewski wymienia karę śmierci na chłopów, polujących bez pozwolenia, schwytanych przy ubitem zwierzęciu. Zygmunt August dozwala chłopom w r. 1557. polowania na własnych gruntach na rosomaki, wilki, lisy, zające, zabrania jednak bić sarny i inne większe zwierzęta, równocześnie wzbrania im posiadania broni palnej. Postanowienia pierwszego Statutu stwierdza w całości Statut drugi, lubo już wówczas przestępstwa myśliwskie mniej ostro sądzić poczęto. Lutomierski podskarbi koronny w r. 1554. nie każe schwytanych przy kradzieży zwierza w Niepołomskich lasach oddawać sądom mówiąc: „Nie chce Król Jegomość, aby wtenczas, kiedy odkupować można karę śmierci za zabójstwo człowieka, aby wilk lub jeleń miał większą wartość, aniżeli człowiek“. Za Stefana Batorego r. 1578. zniesiono ostatecznie karę śmierci za samowolne myśliwstwo i kradzież zwierza, które odtąd uważać poczęto za występek naruszenia cudzej własności. Nasze ustawodawstwo pod względem kary śmierci na przestępstwa łowieckie szło równo z ustawodawstwem zachodnich krajów, jak np. Francyi za Ludwika XII., Franciszka I.; lecz gdy Henryk IV. jeszcze w r. 1601. powtarza barbarzyńskie rozporządzenie kary śmierci za przestępstwa myśliwskie, to Polska usunęła ją już w r. 1578. Prawo ludzkości wcześniej u nas zaświtało.

Powiedzieliśmy wyżej, że prawo łowiectwa przysługiwało wyłącznie panującym, i że nikomu nie wolno było polować bez zezwolenia królewskiego. Już jednak Bolesław czyni wyłom w tym prawie, nadając je niektórym możnym panom. W wieku XIII. wzmaga się możnowładztwo w Polsce, a wraz z niem rozszerza się zakres myśliwstwa. W wieku XII. i XIII. rozkwitło ono, najliczniejsze też o niem znajdujemy wzmianki. Prawa ogólnego łowieckiego, obowiązującego całe państwo, jeszcze nie było, pojedyncze tylko prowincye miały ustawy łowieckie. Zasadzały się one głównie na oznaczaniu kar za przestępstwa, jak widzieliśmy, nader surowe. Ale w tym wieku poczynają już książęta wraz z nadaniem ziemi przyznawać prawo polowania, zastrzegając sobie niektóre zwierzęta lub wyłączając dla siebie łowy z sokołami. W skutek takiego roszerzenia własności łowieckich wytworzyła się potrzeba unormowania Ustaw myśliwskich. Jakoż Statut Wartski zrobił w tym względzie początek, a następnie trzy Statuta Litewskie ułożyły szczegółowe prawa myśliwskie. Można przeto łowiectwo polskie rozdzielić na dwa okresy, pierwszy do XVI. wieku do pojawienia się Statutów Litewskich, drugi zaś od tego wieku.

Od XIV. wieku poczynają już niektórzy tak ze stanu szlacheckiego jakoteż duchownego rozporządzać prawem polowania, jako swoją własnością. Duchowieństwo najwcześniej obdarzane było przez książąt tem prawem. Kapituła Płocka otrzymuje przywilej od Konrada Mazowieckiego w r. 1231: „*Caniductores, venatores cum retibus et falconarii ne intrabunt villas eorundem*“ Inny przywilej z r. 1232 orzeka: „*Quod caniductores et venatores cum retibus et falconarii non intrent villas episcopi et canonicorum et abbatum..... Item non teneantur solvere silvestrem falconem, si deperit..... Item capreolos, vulpes et in praediis ecclesiae venari omnimode, sed homines eorum tantum cum pediis, sed non retibus*“. Biskup Poznański i Kapituła Gnieznieńska dostaje od Władysława liczne dobra, prawo bicia monety i łowiectwa w obrębie swych dóbr (Naruszewicz T. I. str. 190). Leszek Krakowski, Konrad Mazowiecki, Władysław Kaliski, Kazimirz Opolski książęta uwalniają dobra kościelne od dorocznych łowów „per łowich“, a nadania te potwierdza Innocennty III. r. 1215. Bolesław Wstydliwy pozwala arcybiskupowi Gnieznieńskiemu i biskupowi Poznańskiemu pieniądze kować i „zwierz w dobrach i puszczach królewskich łowić, co przedtem krom książęcia nikomu nie wolno było“. (Kromer, tłum. Błażowskiego str. 404).

(Ciąg dalszy nastąpi.)



JASTRZĄB GOŁĘBIARZ.

Szkic według doświadczeń własnych i dzieł niemieckich

skreślił

K. Remiszewski.

Obok lisa i kruka, jest jastrząb gołębiarz szkodnikiem, z którym myśliwy dbały o swój zwierzostan nieprzerwaną toczy walkę. Monografię lisa umieścił już „Łowiec“ w łamach swoich, a kruka opisał w zapiskach ornitologicznych hr. K. Wodzicki obszernie i znakomicie. Jastrząb tylko nie doczekał się do tej pory w „Łowcu“ opisu swego życia, dla tego, nim wprawniejsze pióro je określi, niech posłuży mój skromny szkic do lepszego poznania i skuteczniejszego tępienia tego rabusia.

Jastrząb gołębiarz należy do grupy ptaków drapieżnych dziennych *(raptatores diurni)*, do familii sokołowatych *(falconidae)*, a do gatunku jastrzębi *(asturinae)*

Cechy gatunkowe są tak wyraźne, że nawet niemyśliwy, gatunek ten, reprezentowany przez dwa rodzaje: jastrzębia gołębiarza *(astur palumbarius)* i krogulca *(astur nisus)* z łatwością od innych gatunków odróżni. Skrzydła bardzo krótkie, pokrywają zaledwie połowę ogona, głowa mała, płaska, dziób już od woskówki skrzywiony, opatrzony dwoma wycięciami dużemi nakształt zębów tępych, zakończony ostro. Tęczówka zawsze żółta, u młodych zielonawo żółta, z wiekiem przechodzi w pomarańczową, a nawet ognisto żółtą. Lotka pierwsza bardzo krótka, druga o $^1/_3$ dłuższa od pierwszej, trzecia i piąta prawie równej długości, a czwarta najdłuższa. Nogi żółte, silne, palec środkowy o $^1/_3$ dłuższy od innych, szpony czarne mocno zakrzywione.

J a s t r z ą b g o ł ę b i a r z, kurołapa, kuropatwiarz *(Astur palumbarius* Bechst., *Falco gentilis*, *galinarius* Linn., *Accipiter astur* Pall. der *Hühnerhabicht*, *Stockfalke*, *Doppelsperber*, *Stossvogel)*.

Długość 60cm, ogon 28cm, dziób 3cm, noga po kolano 7.5 cm na 4.5 cm nie upierzona, palec średni 4.5 cm, szpon 1.8 cm, palec środkowy 2.8 cm ze szponem tejże długości. Młode w puchu z wierzchu szaro białe, u spodu czysto białe. Ptak wyrośnięty ma płaszcz czyli wierzch szaro brunatny, spód zaś biały z kreskowaniem brunatnem, kreski te są o połowę węższe, jak tło białe, między niemi się znajdujące, najszersze na piersi, węższe na udach, a najwęższe na gardle i upierzonej części nadkolana. Pięć do sześć przepasek na przednich lotkach, na dalszej części skrzydła przepaski nikną, nadogonie brunatne, podogonie białe, z długich puszystych piór złożone. Wierzchnia część ogona ciemno pręgowana, spodnia jasno szara, na której przebija rysunek części wierzchnej, kończyny ogona jasno obrzeżone. Tęczówka żółta nabiera z wiekiem koloru pomarańczowo żółtego, nogi żółte. Stary samiec miewa upierzenie wierzchem sinawe, samica zaś większa od samca zwykle prawie o jedną piątą część. Młody ptak różni się upierzeniem od starego tak dalece, że nie uważając na cechy gatunkowe, nie łatwo go jako jastrzębia rozpoznać, cały wierzch bowiem młodego ptaka jest daleko jaśniejszy, szarobrunatny z odcieniem czerwonawym, przez co pręgi na skrzydle c a ł e m daleko wyraźniejsze, na ogonie przepaski jasno obrzeżone, z jasnémi trójkątnemi plamkami, środkowe pióra w ogonie ciemniejsze. Upierzenie międzyplecza czerwonawo żółte, trzon piór ciemno brunatny, spód zaś cały żółtawo biały, z ciemnobrunatnem kreskowaniem. Samica bledsza, kreskowanie jej upierzenia więcej czerwone. Tęczówka jasno żółta, nogi zielonożółte. W drugim roku życia w sierpniu wypierza się młody ptak, i wdziewa na się suknię podobną, jaką ma ptak stary, z tą jednak różnicą, iż pręgi poprzeczne pierza są szersze. Krótkie okrągłe skrzydła, tudzież długi ogon znamionują jastrzębia w locie bardzo wyraźnie. Lecąc swobodnie robi jastrząb skrzydłami małe poruszenia trzymając je prawie poziomo, przez co lot jego nabiera podobieństwa do lotu kukułki, jest jednak o wiele szybszy.

Jastrząb gołębiarz zamieszkuje całą prawie Europę i jakkolwiek jest ptakiem więcej leśnym, znajduje się także w okolicach bezleśnych, w górach i równinach, słowem wszędzie, gdzie tylko znaleźć może łup obfity. Gnieździ się nietylko w dużych lasach, lecz i w mniejszych, a lubi zarówno las liściasty jak i szpilkowy. Nigdzie jednak nie występuje zbyt licznie, gdyż dla wyżywienia się potrzebuje większego rewiru i nie znosi obecności drugiego jastrzębia w rejonie, który sobie za siedzibę obrał. Tylko w porze godowej i w czasie wysiadywania jaj żyją one parami, zresztą prowadzą życie samotne. Pora godowa przypada z końcem marca lub w pierwszej połowie kwietnia, w której to porze samiec ugania za samicą w powietrzu, zakreślając łuki i koła podobnie jak to czynią prawie wszystkie ptaki drapieżne dzienne. Gniazdo ścielą jastrzębie na wierzchołkach bardzo wysokich drzew. Gniazdo jest duże i płaskie, zapewne z powodu długiego ogona, któryby w gnieździe głębszem był przeszkodą w wysiadywaniu jaj. Z końcem kwietnia znosi samica zwykle trzy, czasem cztéry a nawet i pięć jaj, szarobiałych z łupiną matową nie błyszczącą; średnica jaj w kierunku dłuższym 55 do 63mm., w kierunku szerokości 40 – 55mm, mają więc one kształt kulisto owalny. Jaja wysiaduje samica, a gdy w południowych godzinach wylatuje za żerem, zasiada w gniaździe samiec, który jednak nie tak twardo dosiaduje i łatwo go z gniazda wypłoszyć. Po trzech tygodniach wykluwają się młode, jest ich zwykle dwoje, czasem troje nigdy jednak więcej. Karmią je rodzice zaraz od pierwszego dnia małymi ptaszkami lub w braku tychże myszami. W lipcu już się pokazują młode na brzegu gniazda, a przy końcu tego miesiąca poczynają latać, wracając jednak na noc do gniazda lub w pobliże onegoż.

Dla drobnej zwierzyny łownej żadne ze zwierząt drapieżnych nie jest w tym stopniu niebezpiecznem, jak jastrząb. Lis, łasica, kuna, tchórz są z pewnością i ptakom i ssakom nader groźnemi, ale one zdołają łupieżyć w pewnych tylko warunkach, nie schwycą zdobyczy w powietrzu, ptak pływający po wodzie wobec nich bezpieczny, bezpieczna też od sokołów kuropatwa na gnieździe, gołąb, który goniony pod krzak lub miedzę przypadnie, sokoł bowiem

tylko w lot zdobycz pochwycić potrafi. I w powietrzu nawet nie zawsze łów mu się udaje, zaniecha bowiem pogoni, gdy ptak goniony wyżej od niego wznieść się zdoła. Dla jastrzębia nie istnieją żadne trudności, żadne przeszkody, uderza z równą pewnością na zwierze siedzące lub biegnące, jak na ptaka pływającego po wodzie; bije ptaka lecącego z nim w jednej wysokości z równie pomyślnym skutkiem, jak lecącego wyżej lub niżej. Przed sokołem uniknie gołąb, gdy się zdoła dostać do lasu, jastrząb go i w lesie pochwyci, i z rozpadliny skalnej i z dziupła drzewnego nawet ostremi i długiemi szponami zdoła swą ofiarę wydobyć. Żadne zwierzę się od tego rabusia nie uchroni, chyba znacznie od niego silniejsze. Widziałem jak jastrząb bił podgorzałkę, jak błyskawica spadł na nią, lecz udało się kaczce ujść wczas jeszcze nurkując. Skoro się jednak tylko dla odetchnienia pokazała na powierzchni jeziora, jastrząb ponawiał ataki i tak ją nimi umęczył, że nareszcie bez trudności stała się jego ofiarą. Na zdobycz czatuje jastrząb ze zasadzki, nie krąży, jak kanie i myszołowy, lecz siedzi ukryty na drzewie lub lata nisko brzegiem lasu, wzdłuż płotów, skąd piorunem spada na upatrzoną zdobycz. Zuchwała jego śmiałość znana naszym gospodyniom. Drób porywa w ich oczach z pod nóg prawie, a za gołębiami zacieka się nieraz aż do gołębników lub strychów. Jest przytem bardzo żarłoczny, potrzebuje dziennie tyle żeru, ile zaważy dobry kogut. Ile jedna para jastrzębi szkody zdoła wyrządzić podczas karmienia wiecznie głodnych piskląt, łatwo sobie wyobrazić. Riesenthal w dziele swojem „das Waidwerk“, skąd opis jastrzębia przetłumaczyłem, opowiada, że mu jastrząb w tym czasie w sześciu tygodniach wyłapał 60 kur, a tak był przytem ostrożny, iż go nigdy na strzał zejść nie było można. Dopiero gdy kur nie stało, a jastrząb za kaczkami począł uganiać, zdołano go sprzątnąć ze sztućca. Łup swój pożera w ukryciu, za krzakiem, kamieniem i t. p., mniejsze zwierzęta połyka całe, większe ptaki oskubuje z pierza, z ssaków zrywa skórę płatami, skutkiem czego nie pozostawia tyle puchu i sierci, jak inne ptaki drapieżne.

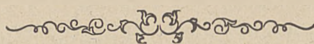
Polowanie ze strzelbą na jastrzębie ogranicza się prawie na zasiadce przy gnieździe. W inny sposób wypadkiem tylko można się spotkać z tym rabusiem, który zobaczywszy myśliwego zawsze wcześnie umyka. Najłatwiej jastrzębia podejść, gdy jest zajęty pożeraniem zdobyczy. Zdarzyło mi się już kilkanaście razy, że prześladując jastrzębia, który w moich oczach porwał kurę lub gołębia, zdołałem go podejść wcale blisko, a choć mnie jastrząb widział najwyraźniej, bo patrzał na mnie swym iskrzącym wzrokiem, nie ulatywał jednak. Starzy myśliwi zapewniali mnie, iż jastrząb ciepłą krwią się upaja i dla tego nie ulatuje. Wątpię, iżby to było prawdą, sądziłbym raczej, że nie strzelany może jeszcze jastrząb nie znał grozy swego położenia; skoro przed chwilą ze zdobyczą z pośród tylu ludzi cało ujść zdołał, tem mniej obawiał się pojedyńczego człowieka. W każdym razie ciekawe to zjawisko i zapewne nie jeden już myśliwy zrobił to samo spostrzeżenie. Diezel w znakomitem swojem dziele opowiada o pewnym myśliwym, który w ten sposób często jastrzębie strzelał, iż je zwabiał białym gołębiem, puszczonym na długim sznurku. Na puhacza bije jastrząb zapamiętale, więc łatwo go ubić z wroniej budki, która i wobec innych ptaków drapieżnych znakomite oddaje usługi, dla tego pobieżnie opiszę ten rodzaj polowania. Budka powinna być urządzona w miejscu otwartem, o ile możności na wzgórku, aby puhacza tem łatwiej zoczyły przeciągające ptaki drapieżne, woda w pobliżu bardzo pożądana, gdyż miejsca takie ptaki chętnie nawidzają, pojedyńcze wysokie drzewa lub las muszą być conajmniej o 300 kroków odległe, aby ptaki, nim na puhacza uderzą, nie mogły wpierw siedząc opodal długo mu się przypatrywać. W suchem miejscu najlepiej urządzić budkę w ziemi, taka bowiem najmniej kosztuje i mało zwraca uwagi. W tym celu wybiera się dół na dwa metry w kwadrat, a dwa metry głębokości, w każdy róg wbija się pal, a ściany zabezpiecza oszwarami, aby się ziemia nie usuwała i zostawia miejsce wolne na drzwi. Dach najlepszy z oszwarów dobrze szparowanych, aby woda deszczowa do wnętrza nie zaciekała. Jeśli dach ma sięgać aż do ziemi, musi być dół głębszy cokolwiek, lepiej jednak jeśli ściany choć na stopę nad powierzchnię ziemi się wznoszą. Drzwi wchodowe powinne być w tej stronie umieszczone, w której puhacz mieć będzie stanowisko, a więc na przeciw głównego otworu strzelniczego. Najczęściej robi się je od północnej strony, aby słońce wschodzące lub zachodzące nie raziło oczów strzelca. Od obu oddźwierków zapuszcza się w ziemię dwa poręcze, a do tych przybija oszwary, przez co tworzy się niża, podobna do wchodu w piwnicę. Drzwi otwierają się do środka, a poruszają w zawiasach lekko i bez skrzypienia. Otwory strzelnicze powinne być we wszystkich czterech ścianach wycięte, przyczem jednak potrzeba się wystrzegać, aby nie leżały wprost naprzeciw siebie. Rozmiary tych otworów mają szerokości 20cm, wysokości 10cm, nad niemi przybite są na zawiaskach lub rzemykach zatyczki tak, aby je w każdej chwili zamknąć można. Dach najlepiej obłożyć darnią, wtedy cała budka wygląda jak naturalny kopiec. Wewnętrzne urządzenie składa się ze stołka bez poręczy, a jeśli budka dość obszerna, z ławeczki wzdłuż ściany i małego stoliczka w rogu, na którym można umieścić naboje i inne przybory. Oznaczając stanowisko dla puhacza, otwiera strzelec główny otwór strzelniczy i siada ze strzelbą w ręku na stołku. Patrząc na zewnątrz, dostrzeże wnet miejsce, które mu się wyda najodpowiedniejszem, nie dalsze jednak jak 20 do 30 kroków od budki. W miejscu tem wbija się palik $1\frac{1}{2}$ met. wysoki z poprzecznym szczeblem w kształcie litery „T“. Kilka centymetrów od ziemi wkręca się w palik ten kółko ze śrubką i przewleka przez nie silny, nie zbyt gruby sznurek, od prawej nogi puhacza aż do budki dochodzący. Koniec tego sznurka trzyma myśliwy w ręku i porusza nim od czasu do czasu, przez co puhacz siedzący na paliku traci równowagę, rozszerza szkrzydła i porusza się, czem ściąga ku sobie uwagę ptactwa drapieżnego. Aby sznurek nie kaleczył puhacza, nie uwiązuje się go bezpośrednio do nogi, lecz do rzemienia z irchy silnej na kilka centymetrów długiej, który rzemień w jednym końcu opatrzony werblikiem, drugim zaś obszywa się stale prawą nogę puhacza. Następnie potrzebne są jeszcze 2 lub 3 drzewa, na których mogłyby zwabione ptaki siadać. Są to niezbyt grube uschłe drzewka z korą, na kilka metrów wysokie, z gałęziami ukośnemi, nie zakrytemi innemi gałęziami. Drzewka te zakopuje się w ziemię w pobliżu stanowiska puhacza w czerwcu lub lipcu, aby się ptactwo przed właściwą porą polowania z niemi i z budką oswoiło. Puhacza dostać u nas jeszcze nie trudno, gdyż mało właścicieli polowań ma u siebie wronie budki. Najlepsze są wybrane z gniazda, gdyż nie są tak dzikie, starsze zaś kąsają dotkliwie. Młode, nie zrażone brutalnem obchodzeniem się i droczeniem z nimi,

można wyjmować z klatki bez obawy, starsze zaś złośliwe, muszą mieć zawsze sznurek uwiązany do nogi. Chcąc takiego puhacza z klatki wyjąć, potrzeba go ostrożnie sznurkiem z klatki wyciągnąć lewą ręką i podnieść w górę. Puhacz zacznie się trzepać, a za chwilę, gdy się uspokoi, chwyta się prawą ręką obie nogi, odwraca puhacza grzbietem do góry, wkłada pod lewe ramię i odnosi na miejsce przeznaczenia. Nasze puhacze, używane w państwie krasiczyńskiem, są tak oswojone w skutek stosownego obchodzenia się z nimi, że biorą pokarm z ręki i można je bez obawy głaskać i wyjmować z klatki. Starannie pielęgnowany puhacz żyje długo. Klatkę powinien mieć obszerną, aby skrzydła mógł swobodnie rozciągnąć, zawsze czysto utrzymaną, na dnie klatki umieszcza się piasek i duże naczynie z wodą, w której się puhacz kąpie. Karmi się go ptactwem przy budce ubitem, w braku tegoż mięsem surowem, szkodliwą zaś jest padlina cuchnąca. Puhacz bez pożywienia wytrzyma tydzień i dłużej, nie godzi się jednak morzyć go głodem. Klatkę ustawia się w miejscu cichem, ciemnem, a gdy się puhacza dłuższy czas nie używa, należy go co kilka dni wynosić i upiąć na kilka godzin na dworze, osobliwie gdy deszcz pada, kąpiel taka bardzo mu służy, bo oczyszcza z robactwa.

Idąc do budki na polowanie, niesie się puhacza pod lewem ramieniem, gdy jednak budka daleko, lepiej go przenosić w koszu obszernym. Przybywszy na miejsce, należy puhacza jak najspieszniej upiąć do pala w sposób wyżej podany i czem prędzej ukryć się w budce, aby obecnością swoją nie płoszyć drapieżnego ptactwa. Najstosowniejszą porą do tego rodzaju polowania są godziny przedpołudniowe od 7 do 10ej i od 3 do 5ej popołudniu. Gdy puhacz siedzi nieruchomy na paliku, trzeba go linewką pobudzić do poruszeń skrzydłami, gdy zaś usiądzie na ziemi, musi go myśliwy napowrót posadzić na paliku i powtarzać to cierpliwie tak długo, dopóki puhacz się nie nauczy siadać na paliku, nawet wtedy, gdy go myśliwy sznurkiem z niego ściągnie. Puhacze, osobliwie młodsze, dostrzegłszy nadciągające ptaki drapieżne, odymają się i postawą zdradzającą obawę zwiastują myśliwemu, by się miał na baczności. Skoro ptak jaki siądzie na drzewko, nie należy zwlekać ze strzałem, w przeciwnym razie ptak rozpatrzywszy się ulatuje i nie powraca już. Używane bywają również wypchane puhacze, ale niezawodnie z gorszym skutkiem.

Dobre usługi oddają myśliwemu łapki i żelazka, któremi daleko więcej można wyniszczyć ptactwa drapieżnego, jak strzelbą. Jest ich wiele rodzajów, wszystkie jednak opierają się na konstrukcyi talerzowej czyli denkowej. Wiadomo każdemu myśliwemu, że większa część ptaków drapieżnych dziennych siada chętnie na miejscach wyniosłych, na samotnych drzewach, palach, stertach i t. p. skąd mając rozległy widok na okolicę czatują na łup. Chcąc używać żelaz z korzyścią, potrzeba mieć ich tyle, aby na każde 100 do 150 morgów przypadało jedno żelazko. Najlepsze miejsca do łapania są większe przestrzenie kilkuletnich kultur, w których słupy z żelazkiem na szczycie się wznoszą, następnie brzegi jezior, stawów, rzek i t. p. Używane bywają najczęściej dwojakie żelaza: z poprzecznem drewienkiem, które się usuwa pod ciężarem siadającego ptaka, albo z dnem w kształcie ściętego stożka. Obydwa są kształtu kolistego i mają sprężyny pod spodem, a nie na zewnątrz jak żelazka starej konstrukcyi. Pod sprężyną opatrzone jest takie żelazko dwoma listewkami żelaznemi, któremi przymocowuje się je do słupa gwoździami. Słup powinien być wysoki na 5—7 metrów i mieć z dwu stron szczeble, po którychby można dostać się do szczytu celem zdjęcia złapanego jastrzębia i ponownego nastawienia żelaza. Ponęty zwykle nie daje się żadnej. Gdzie jest zwyczaj stawiania stert ze sianem lub zbożem w polu, można zastawić żelazko z ponętą (kurą lub gołębiem) bezpośrednio na stercie lub na palu w stertę zatkniętym. Podczas srogiej zimy bywa często myśliwy zmuszony w celu karmienia kuropatw stawiać po polach t. z. budki lub przenośne remizy t. j. daszki na 4 słupach, w takim razie dobrze jest obok takich budek lub nad niemi umieścić pale ze żelazkami, gdyż jastrzębie niewątpliwie ściągają się w takie miejsca, znęcone widokiem żerujących kuropatw, i łapią się łatwo w zastawione żelaza. Oprócz żelaz, używane są również w Niemczech i Czechach łapki, potrzaski czyli t. z. kosze na jastrzębie. Są one wszystkie mniej więcej do siebie podobne, a polegają na tem, że jastrząb bijący na żywego gołębia (w lecie białego, w zimie czarnego) chwyta się albo w żelazo na wierzchu kosza umieszczone, albo w samotrzask.

Kosz ze żelazkiem, zrobiony jest ze siatki drucianej, ma formę okrągłą, na dnie przypina się gołębia, a kosz umieszcza na słupie stosownej wysokości. Kosz ze samotrzaskiem również musi być na wysokim słupie umieszczony, a różni się od poprzedniego tem, że ma formę czworogranną i zamiast żelaza wieko, podparte dwoma drewienkami, które jastrząb musi potrącić, gdy się chce do wnętrza kosza dostać. Są również samotrzaski ze sprężynami, a najzmyślniejszą jest t. z. łapka Webera, która ma pozór zwykłej deski, cały zaś mechanizm pod spodem ukryty. Powyżej opisanych żelaz i łapek tudzież wielu jeszcze innych, dostarczają po tanich cenach firmy: *Web er, Raubthierfallen - Fabrikant in Haynau Preusisch - Schlesien* i *Adolf Pieper*, *Moers*, *am Rhein.*



STANOWISKO KOBIET W DZIEJACH ŁOWIECTWA WE FRANCYI.

(Moniteur de la mode 1884 nr. 47.)

Pożądanem będzie niezawodnie dla naszych czytelników zwłaszcza płci pięknej, gdy zaznaczymy w lekkich zarysach stanowisko, jakie zajmowały kobiety w dziejach łowieckich we Francyi, poczynając od czasów najodleglejszych aż do dzisiejszych. Rzecz ta wobec kwestyi, na dobie będącej, równouprawnienia kobiet, jest nie małego znaczenia, możnaby ją szeroko rozwinąć, lecz bacząc na to, iż „Łowiec" kwestyi humanitarno-filozoficznych badać i roztrząsać nie może i nie powinien, zakreślimy dla naszego obrazka szczupłe ramy.

Przystępujemy do właściwego przedmiotu. Już za panowania Merowingów i Karolingów brały niewiasty

chętny udział nie tylko w łowach na jelenia, ale też na żubra, niedźwiedzia i wilka. Umiały one nawet władać oszczepem ubijając nim zwierzynę płową.

W czasach panowania Kapetyngów weszły w szersze używanie łowy z ptakami łowczymi, które wyrugowały znacznie germańskie dzikie i okrutne zapasy ze zwierzem. Za Walezyuszów wstąpiło myśliwstwo na nowe tory. Reformatorką jego była Anna, córka Ludwika XI., osobiście przewodziła ona łowom, dawała sygnały, i w urządzaniu ich objawiała znajomość rzeczy najdoświadczeńszego łowca. Jeden z dostojników normandzkich poświęcił jej obszerny poemat o łowach, ku czci swej władczyni skreślony, pełen panegirycznych pochwał. Mniej doświadczona w zawodzie myśliwskim, ale również namiętnie jemu oddana, Katarzyna Medycejska, dzielnie dosiadała konia, a w razie potrzeby w walce z zwierzem bardzo zręcznie ciskała kamienie z procy. Mąż jej Henryk II. urządzał w Chenanceaux, ulubionem a rozkosznem miejscu wytchnienia monarchów Francyi, łowy w kniei i z sokołami dla pani swych myśli Dyany Poitiers, księżny Valentinois. Wspaniały był to widok, ona demonicznie piękna, na czarnym, ognistym rumaku, w szacie ze złotogłowiu, z sokołem na ręku. Obok niej król i piękny, młody Montmorency, zaufany dworzanin Henryka II., któremu tenże na turniejach wbił przypadkiem, jak mówią, lancę w oko.

W nowe kształty przystroiło się łowiectwo w czasach Ludwika XIII. i XIV. Miękkie i uciech zmysłowych pełne życie na dworze bożyszcza i tyrana Francyi Ludwika XIV., przygasiło nieco w płci pięknej namiętność do zapasów Nemrodowych, jednak i w tych czasach wspominają dzieje o księżnie Orleańskiej, znakomitej i dzielnej łowczyni.

Wybuch rewolucyi w r. 1789. postawił tamę swobodnemu rozwojowi myśliwstwa. Czasy Restauracyi i monarchii lipcowej nie były też przyjazne dla łowiectwa, jakoteż dla udziału w niem płci nadobnej, a straszliwa klęska pod Sedanem, zwracająca myśl ogółu ku poważniejszym dążeniom, odwróciła zupełnie uwagę niewiast od tej rycerskiej wprawdzie, ale mniejszego znaczenia przyjemności. Wnet jednak oprzytomniał potężny duch Francyi po tak strasznym pogromie, znajdując w sobie niewyczerpany zasób siły moralnej i materyalnej, podźwignął się i zapomniał, że tytuł cesarstwa okupił miliardami i upokorzeniem: pełen żywotności rozpoczął pracę około burzą skołatanej ojczyzny, a obok tego pewny pomyślnej przyszłości rzucił się w wir rozkoszy i zabaw. Nie leżało też odłogiem łowiectwo; rozpoczęły się świetne wyprawy myśliwskie z całym wytwornym i wspaniałym przyborem, do których ozdobienia nie mało przyczynił się udział, jaki w nich wzięły piękne panie. Dziś nie ma tam łowów, którychby nie uświetniły obecnością swoją kobiety, a liczba adeptek Dyany mnoży się z dniem każdym w wolnej republice. Głównego kontyngensu dostarczają sfery arystokratyczne, pomne mnogich nemrodowych tradycyi starych swych rodów. Każda niemal dama starożytnego i wysokiego rodu otaczała się orszakiem niewieścim, który jej zawsze towarzyszył, a składał się z kobiet szlachetnego rodu. Jak ozdobą były one dworu i jego życia, tak też w łowiectwie estetyczną jego stanowiły stronę; z niemniejszym jednak zapałem, jak płeć męska ścigały one dzikie zwierzęta zarówno ze swą panią, a w spuściźnie przekazały swemu rodowi ową namiętność myśliwską, która dziś aż do excentryczności niemal się posuwa. Piękne panie z całym zapałem, zręcznością i wdziękiem chwytają w białe, drobne swe rączki broń ozdobną i upędzają się za zwierzem z wytrwałością, godną zaiste lepszej sprawy. W Fontainebleau każde polowanie uświetnione jest obecnością czarujących pięknością, sławnych Dyan: pani Porgès i Fatmy Dolfus. Towarzyszą one panom konno w strojach pełnych oryginalnej fantazyi i szyku wytwornego, ze strzelbą na ramieniu, wspaniale złotym lub srebrnym drutem wykładaną, z małym zdradzieckim sztylecikiem, za pasem ukrytym. Jedna z dam wysokiego rodu, hrabina M. miała na polowaniu suknię zieloną, koloru „*pré*“ gładko plisowaną, z trzema wyhaftowanemi na niej głowami jeleniemi, ukośnie na przodzie spadającemi, żakietką sukienną z kamizelką skórzaną, lamowaną skórą, szeroki pasek i kaszkiet „*Jockey*“. Wszystko to musiało być prześliczne, nieprawdaż piękne czytelniczki?! Druga adeptka Dyany hrabina de B. ubrana była w kostium aksamitny szary z kamizelką, „*Calabraise*“ i bluzką „*Garibaldi*“ z jasnej, cienkiej i miękkiej flaneli. Bluzka ta, zmarszczona paskiem różowym jedwabnym, kilka razy około kibici owiniętym, przypominała zupełnie strój wieśniaków w Abruzzach. Kapelusz filcowy, szary, przybrany dwoma bażanciemi piórami, dopełniał oryginalnego stroju.

Wiadomo, że obecnie Paryż ma u siebie w gościnie W. Księcia Włodzimirza i jego małżonkę. Otóż na cześć dostojnych gości odbywają się polowania. Przepyszne łowy zaznacza „Kronika sportu“ w Chantilly. Również księżna d'Uzès uczciła przybyszów sanktpetersburskich świetnem polowaniem w dniu 20. listopada, a 21. t. m. odbyły się wspaniałe łowy, urządzone przez prezydenta Grévy'ego.

Bawią się więc znakomicie w kniejach obywatelki *de la grrrande nation;* emocya drażni ich nerwy, nowych przysparza wrażeń, ale moralnie czy dobrze działa? Wątpię! Niejedna z czytelniczek powie: „Dla czegoż nie miałybyśmy brać udziału w tak niewinnej, a miłej rozrywce, wszak ruch na świeżem powietrzu pobudza krew do silniejszego krążenia, i organizm odżywia się i wzmacnia. Wszakżeż lepiej odbyć przejażdżkę na koniu ze strzelbą na ramieniu, jak bez celu upędzać się po polu i drogach. Zresztą jeżeli damy francuskie tej przyjemności używają, dla czegoż nam nie wolno ich naśladować? Wszak jesteśmy zarówno członkami narodu ucywilizowanego i rycerskiego, więc też same przysługują nam prawa. Wszak jedna z najpotężniejszych władczyń Europy, monarchini austryacka, oddaje się łowieckiemu sportowi z wielkiem zamiłowaniem, i wcale to nie ubliża jej Majestatowi“ — Tak! Ale ja odpowiem przysłowiem: *quod licet Jovi, non licet bovi*, i dodam, że polowanie nie jest odpowiednią rozrywką dla kobiety. Ona życie ozdabia i daje, ale go nie zamąca i nie odbiera. W naturze kobiety leży szlachetność i subtelność uczuć;— a czyż widok przelanej krwi i konwulsyjnych drgań konającego stworzenia tych uczuć nie tępi? Czyż kobiecie nie wystarczają rozkosze umysłu: nauka, sztuka, muzyka, zresztą obowiązki domowe i rodzinne? Sport łyżwowy, taniec, w miarę użyte, przysparzają sił ciału i duszy. Polowanie u nas nigdy — przenigdy prawa obywatelstwa uzyskać nie powinno, zostawmy je drugiej połowie rodu ludzkiego, abyśmy o wyrobione w tym rycerskim zawodzie siły ich oprzeć się mogły. Takie moje zdanie i sądzę, że łaskawe czytelniczki chętnie się do niego przyłączą i przebaczą mi, że może zadługo trudzę je moją gawędą.

Nie-Dyana.



MYŚLIWI ZIEMI SANOCKIEJ.

PRZEZ
ALEXANDRA UBYSZA.

Zaznajamiając czytelników w poprzednich numerach „Łowca“ z dawnymi spiącymi już w mogiłach myśliwymi ziemi Sanockiej, sławiąc ich łowieckie czyny, dopuściłem się pewnej niesprawiedliwości, dotknąłem bowiem wtórego ich pokolenia, zarzucając mu brak animuszu łowieckiego, osobliwie na grubego zwierza. Tak źle nie jest, potomkowie owych sławnych niegdyś myśliwych nieodrodzili się od swych przodków, bo, mówiąc przysłowiem „rodem kury czubate“. Wedle starej sanockiej przypowieści „Żury, Boby, Osuchy — rodem tęgie zuchy“, wiernie zachowują ten rodowy obyczaj, a ja z mojej strony mogę śmiało szyję dać w zastaw, jeśli mi kto ukaże jakiego Żurowskiego, Bobowskiego lub Osuchowskiego, któryby nie był prawdziwym zuchem, jak to mówią „do tańca i do rożańca“, „do wypitki i do wybitki“, o czem ostatniem przed laty naocznie się przekonałem. Alboż to na owych trzech rodach koniec zuchów Sanockich? Gdzież się podzieli hr. Krasicki, Rylski, Leszczyński, Terlecki Ziętarski, i oni nieodrodni od swych dziadów i ojców, i oni z rogatą ale zacną duszą, z większym pociągiem do konia i do flinty, jak do alwara. A ja ośmieliłem się posądzać ich o brak animuszu. Niech przebaczą tę winę staremu, bo

„Młodzik myślą w przyszłość goni,
Dziad cofa się wstecz.
Wiadoma to rzecz“.

Więc też i ja duchem zanurzony w przeszłości, lekceważyłem teraźniejszość. W dowód poprawy niech służą te słowa, które tu nakreślić zamierzyłem.

Ostatnimi czasy seniorem niejako myśliwych Sanockich był ś. p. Józef Tyszkowski. Był on właściwie Przemyślaninem, w połowie tylko Sanoczaninem, bo tylko po kądzieli wywodził ród swój z ziemi Sanockiej. Matka jego była Giebułtowska, z najstarszych rodzin Sanockich. Józef Tyszkowski należał jeszcze do starej gwardyi św. Huberta, bezżenny, majętny, był w Galicyi jeden z nader szczupłej liczby panów polujących na wyższą skalę. Z liczną psiarnią, z licznym zastępem płatnych myśliwych, czasem nawet z sieciami, wybierał się co roku w późnej jesieni na łowy do swych dóbr Sanockich, o które, mówiąc nawiasem, zresztą tak dbał „jak pies o piątą nogę“. Ażeby w krótkości zcharakteryzować stan jego dóbr, powiem, że las i zwierzynę oszczędzano do największego skąpstwa, zresztą była wszędzie istna *Arabia deserta.* Na licznych folwarkach, których dla jakiegoś dziwactwa nie wydzierżawiał, gospodarowali ulubieńcy wodzi-kundle alias psiarczyki, a jak gospodarowali, przekonałem się naocznie, sąsiadując z Uhnikami, stałą siedzibą ś. p. Tyszkowskiego i z resztą pobliskich jego dóbr. Byle ten lub ów pseudogospodarz dostarczył nieco owsa na osypkę dla psów lub koni, to było dosyć, reszta tonęła w kalecie sługusa. Las szanował do skąpstwa. Gdy rozpoczęto budowę kolei Przemysko-Łupkowskiej, chcieli przedsiębiorcy zakupić znaczną przestrzeń lasów, należących do dóbr Przemyskich Tyszkowskiego, zrazu skłaniał się do zrobienia tego nader korzystnego interesu, lecz zwlekając z tygodnia na tydzień ostateczną ugodę, w końcu zerwał całkowicie dalsze paktowanie, dając za powód, iż nie może pozbawiać zwierzyny tak dogodnego schronienia. Tyszkowski mieszkał na przemian w Uhnikach lub w Kalwaryi Pacławskiej, która była jego własnością.

Co do tej peregrynacyi Tyszkowskiego niech mi łaskawy czytelnik pozwoli zrobić małe zboczenie, przywiodę inny fakt podobny powyższemu. Niech mi darują starzy kawalerowie, gdy powiem, że oni największą dostarczają liczbę dziwaków. Ich szlachetne zamiary i czyny stykają się zwykle z przeróżnego rodzaju dziwactwem. Podobnego dziwaka miałem i ja w mojej rodzinie, był nim Jan Gor..., stary kawaler, który dzierżawiąc Rzeplin, wieś położoną w Kongresówce, najregularniej co lat dziesięć przeprowadzał się z jednej strony olbrzymiego domu mieszkalnego do pokojów leżących po drugiej stronie. Przez całe to decenium owe dwa pokoje, nigdy więcej, które zamieszkiwał, nie bywały ani bielone, ani nawet oczyszczane z sieci pajęczych, nawet zamiatanie odbywało się tylko w następny sposób. Pan Jan zwykł był umywać się nabrawszy pełne usta wody, polewał sobie nią ręce i umymał twarz, biegając przytem po obu pokojach. W ślady jego szedł lokaj Franciszek, równie jak pan stary kawaler i dziwak, i miotłą zrobioną z łodyg bylicy w lecie, w zimie z wiechcia żytnej słomy zamiatał podłogę, a zamiatał tylko z lekka, i drobny pył umślnie zostawiał pod progiem, bo on służył do zasypywania pisma. Pan Jan dziwak i skąpiec dla siebie, najzacniejszą i najczystszą posiadał duszę, o czem poświadczą pewnie starsi mieszkańcy tej okolicy. Skąpstwo jego dotykało tylko samego siebie i lokaja Franciszka. Obadwaj dziwaki nie byli myśliwymi, lecz namiętnymi ptasznikami. Wszelkiego rodzaju przyrządy do chwytania ptaków, sidła, sieci, samotrzaski, jakoteż wabiki z gęsich kostek, blaszek lub orzechów laskowych dziurawych (świstunów) sporządzali sami. Pociesznem było widzieć siwowłosych starców z całym zapałem oddających się łowieniu ptaszków, zajęcie to jednak nie absorbawało całkowicie ich czasu tak, jak szambelana z Komedyi Fredrowskiej.

Józef Tyszkowski nie był dziwakiem unikającym ludzi, przeciwnie szukał ich towarzystwa, osobliwie na łowach, które były jego najmilszą i jedyną passyą. Oddawał się im z całym zapałem, nigdy jednak nie polował na drobną zwierzynę. Jeleń, dzik, niedźwiedź, wilk lub ryś, wreszcie sarna — to była jego zwierzyna. Nie było jej w dobrach jego Przemyskich. Znałem te dobra dokładnie i lasy nie tylko Uhnik, Kalwaryi Pacławskiej, Makowy, Rybotycz i innych należących do Tyszkowskiego, ale i sąsiednie lasy dóbr Bybła, Borszowic, Sierakosiec, Aksmanic, Kormanic, Fredropola, Rozubowic, są to lasy położone śród wcale stromych gór, ale prócz zajęcy i lisów żadnej innej zwierzyny, nawet sarn tam nie ma, więc Tyszkowski w nich nie polował. Wolno było psiarczykom i płatnym myśliwym wyprowadzać tam psy gończe, aby nie zależały pola. Była to prawdziwa zgraja kłusowników, karnych wobec swego pana, a zuchwałych wobec sąsiednich właścicieli lasów lub nadzorców tychże. Gromadą dziesięciu i więcej osób z 5 lub 6 sworami psów polowali codzień w swoich i obcych lasach, ztąd powstawały bójki z leśniczymi i gajowymi, które zawsze prawie wypadały na korzyść myśliwych Tyszkowskiego. Wieczna to była wojna, ubijano sobie nawzajem psy, nie szczędzono guzów, a obywało się zawsze bez interwencyi

władzy rządowej, gdyż sąsiedzi właściciele lasów, kochając i poważając Tyszkowskiego, zakazali najsurowiej swojej straży lasowej uciekania się pod skrzydła prawa. Los tak zrządził, że zmuszony byłem przyjąć nadzór lasów Bybła i Borszowic, własności mego ś. p. wuja Adama P., jedna część tych lasów stykała się bezpośrednio z lasami Uhnickimi. nie mały był dla mnie kłopot, w jaki sposób ustrzedz wuja od szkody, a siebie od zetknięcia się z tą bandą kłusowniczą. Jadę tedy do Uhnik w celu uproszenia u Tyszkowskiego przykazu szanowania cudzej własności przez jego myśliwych, bardziej zaś dla ułożenia się jak najkorzystniejszego z głową tej bandy. Już zbliżam się ku Uhnikom, w tem podjeżdża ku mnie bardzo skromny węgierski wózek, ciągniony parą dziarskich siwych mierzynów. Powoził furman w prostej kapocie, jegomość zaś odziany w obszerny zegeltuchowy pudermantel, z dużym płóciennym kapeluszem na głowie, wyglądał na ekonoma lub jakiego simplicyusza. Jak się później dowiedziałem, był to sam Tyszkowski. Podjeżdżam pod zabudowania, wszystkie murowane i dużych rozmiarów. Domów mieszkalnych dwa, dużych, piętrowych, podobnych do zwykłych miejskich kamienic. Na obszernym, licho utrzymanym dziedzińcu prócz kilku szczeniąt gończaków ani jednego człowieka, niemniej też w obu domach, z których jeden zamieszkiwała służba, drugi sam właściciel. Wstępuję w obszerną sień, ściany przystrojone w trofea myśliwskie, pełno tam rożków sarnich, głów dziczych i jelenich wieńców. W przedsionku i w całym domu nie znajduję nikogo, zdejmuję więc trąbkę, wiszącą na ścianie, wychodzę na ganek i dmę co sił pojezdnego. Skutek był wyborny, jakby z pod ziemi zjawia się jakiś facetus, niemłody już, słuszny, ubrany w szaraczkową kurtę z zielonymi wyłogami. Był to najstarszy myśliwy, łowczy; od niego dowiedziałem się, że owym spotkanym podróżnym był sam Tyszkowski. Począłem z nim paktować o oszczędzanie kniei Bybła i Borszowic, ja zaś najsolenniej przyrzekłem nie strzelać gończaków na mojem terytoryum. Gdy spytałem o resztę myśliwych, powiedział mi, że z gończakami w pierwszem polu poszli w las „na Hruszowę“, właśnie przylegającą do Bybelskiego lasu, w celu zaprawienia ich. Muszę przyznać słuszność myśliwym Tyszkowskiego, że po zawarciu ze mną umowy dosyć ściśle przestrzegali ugodowych warunków. Miał podówczas Tyszkowski śliczną gończą sukę doskonałą, jako faworyta mieszkała przy panu w pokojach, miała wszakże brzydką wadę gonienia postronnie w czasie łowów, a samopas podczas nieobecności swego pana. Często doby całe goniła po swoich i cudzych kniejach, a goniła do upadłego, nie małą czyniąc szkodę w zwierzostanie. Pewnego razu wychodzę w las od granicy Uhnik, suka goni w pojedynkę, przeszła na moją stronę, wnet przemknął koło mnie goniony zając, strzelam na wiatr i poczynam trąbić, suka przybiega, chwytam ją, biorę na mocny sznur, fiszbinowym stemplem mej dubeltówki sypnąłem jej ze 30 razów i puszczam, co tchu umknęła ku domowi. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, dopędza mnie trzech myśliwych Uhnickich i sam Tyszkowski, który pyta mnie, czym strzelał, czym nie zabił suki lub nie postrzelił, że tak przeraźliwie skowyczała. „Wcale nie — odpowiadam ukazując stempel pęknięty — od takiego naboju ani zabita ani raniona“. Opowiedziałem całe zdarzenie i razem śmieliśmy się serdecznie. Od tej pory datowała się moja znajomość z Tyszkowskim. W kilka dni po tem zdarzeniu jeden z myśliwych jego przynosi mi list wraz z dubeltówką Lepażówką. Treść listu była taka: „Spiewka od czasu wziętej kąpieli pozbyła się wady gonienia samopas, upraszam przyjąć tę strzelbę na pamiątkę od przyjaciela“. Nie długo cieszyłem się ową wyborną dubeltówką, „na pożyczkach zjadła mydło“, za późno dowiedziałem się o przysłowiu: „konia, strzelby i .... nigdy nie pożyczaj“.

Tyszkowski, jak już mówiłem, nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko polował w swych Przemyskich kniejach, bo on jak wojski Hreczecha nigdy ani z chartami ani ze strzelbą nie polował na zająca. Co roku w jesieni wybierał się do swych dóbr sanockich, gdzie w swoich lub sąsiednich kniejach Smolnika, Caryńska, Ruskiego, Dydiowy, Zatwarnicy używał łowów, a wszystkie te wsie mają połoniny i knieje w samym Beskidzie. Tam to trzeba było widzieć Tyszkowskiego otoczonego gronem wybornych strzelców i znakomitych myśliwych, jak Jędrzeja Osuchowskiego z dwoma synami, Jana Terleckiego, Augusta Rylskiego i wielu innych. Inny to był człowiek, zwykle prawie bez energii, małomowny, w kniei zmieniał się do niepoznania. Odgłos trąbki, gra ogarów obudzały w nim życie. Gdy psy osaczyły odyńca lub jelenia, Tyszkowski jak młodzik zagrzany łowieckim animuszem przez góry i jary pędził ku osaczonemu zwierzowi, ubijając go trafnym strzałem lub po staremu biorąc na kordelas. Zanim skreślę kilka przygód łowieckich Tyszkowskiego i jego towarzyszow, opiszę pochód tej całej myśliwskiej kawalkady, a głównie liczną psiarnię, jaką chyba u prastarych myśliwych znaleść było można.

Punktem zbornym dla zaproszonych przez Tyszkowskiego gości nie Sanoczanów były Uhniki. Psiarnię, którą posworowaną wiedli płatni strzelcy Tyszkowskiego, dniem wprzód wyprawiono ku Ustrzykom dolnym. Ci strzelcy szli pieszo, każdy z nich wiódł po kilka swór psów gończych, a swór takich bywało 30, 40, a czasem i więcej. Za nimi kroczyły psy drążkowe, różnej maści, gatunku i wzrostu, przeważnie duże włochate kundle, parami upięte do drążków. Tyszkowski nie posiadał psów drążkowych zawodowych, była to więc zbierana drużyna psów z różnych okolic kraju, które mu do Uhnik przysyłano, lub które nabywał. Kupiony pies po odbytej próbie na dziku lub niedźwiedziu, był używany lub szedł na gałęź W złai tych psów drążkowych, których bywało po kilkadziesiąt, rzadko napotkać było można duńkiego lub angielskiego brytana, są bowiem albo zbyt zuchwałe i giną od kłów dzika lub pazurów niedźwiedzia przy pierwszem spotkaniu, albo też, co najczęściej się zdarza, są trwożliwe i niebiorcze. Tyszkowski najchętniej nabywał nasze zwykłe włochate kundle, są bowiem wytrwałe, ostrożne, odważne, a w dodatku posiadają dar tropienia zwierza, którego nie mają powyższe rasy. Psy rasy węgierskiej dobrocią równają się naszym kundlom. Około r. 1870. najlepszym między drążkowymi psami Tyszkowskiego był duży, srokaty i włochaty kundel, z uciętym przez pierwszego właściciela chłopa ogonem, chudy, pokiereszowany niby bursz niemiecki z akademii Jenajskiej, na całem ciele nosił ślady kłów dzika i pazurów niedźwiedzia, osobliwie na głowie mnóstwo było blizn zarośniętych, z jednem uchem, bo drugie odgryzł mu wilk w czasie zapasów, z których kundel wyszedł zwycięsko. Ów weteran kroczył na czele psów drążkowych, upięty na żelaznym pręcie wraz z drugim rudym, mniejszym, grubo płaskim, silnym kundlem, niemniej dzielnym i odważnym, czego nosił ślady na swych krzyżach, z których niedźwiedź, pochwycony przez psa za gardło, zdarł spory szmat skóry, którą wprawdzie przyfastrygowano do ciała, lecz nie nader dokładnie. Oba psiska poza knieją nienawidziły się okrutnie, z tej przyczyny wyjątkowo upinano je do żelaznego pręta, nie jak resztę kundli do drewnianego drążka. W kniei przykładna panowała między nimi zgoda wobec wspólnego interesu i dzielnie sobie nawzajem pomagali. Poza psami postępowały podwody z pro-

wiantem dla ludzi i psów. Całą taką kawalkadę napotkałem w Suszycy na popasie u Eliaszowej, słynnej w swoim czasie z umiejętności kulinarnej, której mąż o 20 lat młodszy od swej połowicy dobrym był strzelcem, więc najczęściej mimo protestu żony przyłączał się do drużyny myśliwskiej.

Z sieciami, o ile mi wiadomo, nie polował Tyszkowski, bo w górskich okolicach są one nie do użycia. Huczków czyli obławy używał, ale tylko na niedźwiedzia. Nie płoszyli oni zwierza, lecz uzbrojeni w drągi, ustawieni na przesmykach mieli obowiązek nie wypuszczać zwierza z miotu. Jeleń i niedźwiedź skoro wymkną poza linię strzelców, najlepiej nawet trzymane przez psy, nie wracają do dawnego miejsca. Jeleń wodzi psy po najwyższych szczytach, więc gdy psy średnie, to je pogubi, a gdy dowodne, to go osaczą i trzymają aż do przybycia myśliwych. Niedźwiedź umie też wykradać się i wodzić psy po szczytach nad urwiskami skał, pomyka chyżo jak zając. Gdy psy go zoczą i poczną się dobierać do szarawarów, staje mysio na zadnie łapy, przedniemi porywa kamienie, buczaki, ciska je lub młyńcem niemi wywija, motłosząc napastników. Nawrócić się ku myśliwym nieda. Litwini i Żmujdzini światową mają sławę z odwagi stawiania czoła niedźwiedziom, niemniej też odważni są prawdziwi górale podbeskidowi. Niektórych wyłącznem zajęciem jest tropienie w zimie niedźwiedzi, lub wynajdowanie ich gawr, nie nowina dla nich pójść z niedźwiedziem w załebki. Uzbrojeni co najwięcej w żelazne widły, a najczęściej w nieodstępną tylko siekierę (topir), w dwóch lub trzech ruszają w Beskid szukać „bartkowej chaty“, gawry, aby ją dobrze sprzedać. Najdzielniejszymi zwykle bywają pastuchy wołów, których ogromne stada pasają na połoninach lub u niższych stoków Beskidu. Woły od Maja do św. Pokrowy (1. Października według gr. kalendarza) przebywają stale w górach, w dzień pasą się, a na noc idą do koszar. Pastuchy nocują w budach, a raczej szałasach „kołybach“ przy koszarach. Po wilkach, które jednak rzadko opadają woły, najstraszniejszymi są dla nich niedźwiedzie. Mało ktora noc przeminie bez alarmu, niedźwiedzie bowiem szczególną mają pożądliwość ciepłej krwi zwierzęcej, więc w nocy wpadają do koszar, wskakują na leżące bydlę, a choć ono potem ugania po koszarze, niedźwiedź zatopiwszy w ciało zadnie łapy, przedniemi rozdziera je i ssie krew obficie płynącą. Za dnia nie odważy się ów rabuś na napad, bo woły i konie wtedy łączą się w celu straszliwej dla napastnika obrony, konie zębami i kopytami zadnich nóg, a bydło rogami odpierają napaść nieźdwiedzia lub wilka bardzo często nader skutecznie. Takich wypadków zdarza się wiele. Pastuchy w razie napaści z drągami, siekierami lub płonącym ożogiem wpadają na niedźwiedzia, i albo go ubiją lub zmuszą do odwrotu. Ale nie łatwo on daje za wygranę, następnej nocy zjawia się znowu. Góral zna się dobrze z „batkiem“, stacza z nim walki, nie z „zrusznycią“, bo taką posiada chyba bogaty, lecz z drągiem lub siekierą, i nie lęka się spotkania z nim, choćby był sam jeden. Toż gdy Tyszkowski lub kto inny poluje w górach, górale chętnie spieszą do obławy lub jako myśliwi, cenne oddając usługi, nikt bowiem lepiej nie zna przepaścistych kniei, tych prawdziwych mateczników niedźwiedzi, rykowisk lub ulubionych leżysk jelenich, jak chłopi, których wszyscy wokoło nazywają „medwednykamy“, czyli po prostu kłusownikami. Do jakiego stopnia posunięta jest odwaga pastuchów, z których głównie rekrutują się niedźwiednicy, niech posłuży zdarzenie, którego prawdziwość poświadczyła widziana przezemnie krowa, srodze poraniona przez niedźwiedzia.

Roku 1880 w towarzystwie litwina R. i wołyniaka Sę. odwidziłem ja po raz dziesiąty, owi zaś panowie po raz pierwszy Beskid. Zwidziwszy szczyty Połonin i najwyższy w tej okolicy szczyt „Hnatowe Berdo“, przyjęliśmy gościnę u nader uprzejmego dzierżawcy wsi Wetliny, p. Wohnera. Dodam, że Wetlina jest ostatnią wsią galicyjską w tej okolicy i przytyka do samych Karpat czyli Beskidów. P. Wohner słynnym jest myśliwym, opowiadał nam wiele szczegółów z życia jeleni i niedźwiedzi, między innemi następujące zdarzenie. „Woły moje, przeznaczone na wypas, pasą się w połoninach, jałownik i kilkanaście sztuk jałowych krów w Beskidzie, o pół mili niemal od wsi i domu. Przy jałowniku i krowach mam dwóch pastuchów. Przed tygodniem jeden z nich poszedł do dworu w celu zabrania żywności na cały tydzień, ale nie powrócił, więc pozostały pastuch sam musiał odbywać straż w koszarze. Po północy budzi go ryk i uganianie bydła po koszarze, co tchu spieszy, domyślając się przyczyny, uzbrojony w gorejący ożóg w jednej, a malutką krucicą, nabitą tylko prochem w drugiej ręce i toporem za pasem. W istocie poznaje śród dość jasnej nocy czarną masę na pomykającej krowie, która wnet zapewne z bolu i zmęczenia padła na ziemię. Semko przypada do niedźwiedzia i przyłożywszy niemal do samego łba krucicę pali w samo ucho, a palącym ożogiem godzi w ślepie. Siekierą zadaje mu cios dosyć głęboki, poczem niedźwiedź umknął z koszary. Nazajutrz sam się przekonałem po obfitej jusze, że cięcie musiało być głębokie. Bohater Semko był mały, chudy i nędzny człeczyna“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Wasylówka (Ukraina).

Pomimo mokrej jesieni, jaką mieliśmy prawie do Listopada, polowania w tym roku dość się nam udawały, a dubeltów i kuropatw było podostatkiem, zajęcy więcej niż w roku zeszłym, wilków gniazd nie wiele, polowania jednak na nie opłacały się, chociaż z powodu ciągłych deszczów zdarzało się strzelać z pod parasola. Jako fakt przytoczę wzmiankę o polowaniu, które się odbyło u p. Michała Podhorskiego w Skwirskim powiecie, we wsi Bereźnej. Las nie stary, ługów dosyć, obszar niewielki, bo ledwie 130 dziesięcin, z których połowa miotu zarzucona, a zabiliśmy wilków 11, sarn 9, lisów 6, zajęcy 8. Polowanie trwało nie dłużej jak trzy godziny z dobrymi gończymi, rezultat jednak piękny, lepszy niżelibyśmy się spodziewali. Wspominam o tem polowaniu, by zwrócić uwagę, że taka mięszanina zwierza w jednym ostępie wychować się mogła, co dowodzi, że wilk, gdzie zwierz jest już dorosły, wielkiej szkody robić nie może. Okolica, gdzie odbywało się polowanie więcej stepowa, więc wszystka ta zwierzyna wychowała się razem dla naszej uciechy. Spolowawszy w swojej okolicy miejscowości nam znajome, marząc przez kilka dni wspomnienia o minionych przyjemnościach, przyszła nam myśl zapolować w lasach rządowych, które tak dalece są konserwo-

wane, że się tam trawa nie zbiera, wiatrołomy pozostają nie ruszone i wszelkie drogi pozarastane. Pilność leśników wielka, polowania dopiero od kilku lat są pozwolone, naco należy uprzednio uzyskać bilety. Bilet na prawo polowania w lasach rządowych z rocznym terminem opłaca się rub. sr. 10, posiadacz takiego biletu ma prawo mieć z sobą dwóch myśliwych, gończych tyle, ile komu starczy, sieci są wzbronione. Zaopatrzywszy się w bilety, w kilku prawdziwych myśliwych, wyruszyliśmy nie tracąc czasu koleją do stacyi Kalinówki, skąd już do kniei nie dalej jak werstw cztery. Każdy z nas miał z sobą strzelca, sworę gończych i zapasy żywności na dni kilka. Lokal staraliśmy się mieć jak najbliżej kniei, gdy więc gajowy, któremu należało okazać bilety, zaprosił nas do swego mieszkania, przyjęliśmy je bez namysłu. Pomieszczenie nasze składało się z jednej dużej izby, w której jedyna, stojąca pod ścianą, ława stanowiła całe umeblowanie, a znajdujące się w niej dwa piecy, ogrzewalny i warzysty całą wygodę W piecu ogrzewalnym można było napalić według upodobania, a w warzystym przygrzać nasze zapasy. Wkrótce samowar saszypiał i wszczęła się gawęda z leśnikiem o zwierzynie i o kniejach. Leśnik człowiek widocznie rozmowny, opisywał nam pozycyę lasu w swoim rewirze, w której kniei i jaka przeważnie znajduje się zwierzyna, a na samym wstępie tak nas przewitał: „kabanam łycho bude, a szczo kozy, to nechaj zaraz rozbywajutsia, bo sobaki za jednoju bihaty budut. Znaju, szczo wsich ne wybyjete, a po ochoti czołowik żinci hostyńcia kupyt', teje dobre znaju, bo u nas pany buwajut', i płatiat' liśnykam za ryżki i ikła". Wesoło słuchaliśmy gawędy leśnika, poczem każdy do swej flinty, szukając po torbach kul gdyż leśnik o kabanach dość stanowczo mówił, że ledwie nie w każdym ostępie tabuńca znaleźć będzie można. Posiliwszy się i nagadawszy trzeba spać, ułożyliśmy się w dziewięciu pokotem, sen był w marzeniach i trwał krótko. Poranny brzask przebudził nas tem bardziej, że gończe zamknięte w komorze wyć zaczęły. Samowar już szypiał, zabraliśmy się więc ochoczo do herbaty. Trąbka poranna dała hasło, ale widocznie alarmujący obudził się później niż my, gdyż byliśmy już od pół godziny po herbacie i buterbrody już były w torbach. Żywa gawęda, podsycana nadzieją pomyślnego polowania, toczyła się jeszcze między nami, gdy podjechały podwody i ruszyliśmy po psich drogach do miejsca, skąd mieliśmy puścić psy. Miejscowość wskazaną zastąpiliśmy, puszczone gończe zaczęły naszczekiwać, a nie wprawne do dzików, traktowały je jak swojskie świnie, czem zwróciły uwagę myśliwych. W tem dał się słyszeć strzał, poskoczyliśmy co prędzej, pokazało się, że ruszono ogromną lochę i dziesięć warchlaków, które ruszyły z kniei bez gończych. Locha przeszyta kulą na wylot i zaatakowana przez psy, stała w zaroślach fukając i tupiąc racicą. Najbliżej stojący myśliwy podbiegł na ośm kroków i strzelił do niej lotkami, i jak pokazało się trafił w samo serce, pięć lotek przebiło je. Padła na miejscu, strzał zaś kulą przeleciał spodnią częścią brzucha, i widocznie ciężko ją postrzelił, gdyż stała na miejscu i silnie jeszcze fukała. Odniesiony tryumf dodał nam humoru i zachęty, każdy z nas chciałby spotkać się z podobnym okazem. Sarny, z których zabiliśmy dwa kozły, zabrały nam trochę czasu, ztrąbiwszy więc psy ruszyliśmy do drugiego ostępu.

Było już cokolwiek za późno, ale chcieliśmy korzystać z czasu Ostęp ten nazywał się uroczyskiem „Did'y", cały w błotach i zaroślach; a nazwę nosi z tradycyi, jakoby w dawnych czasach Cyganie, kradnąc po wsiach dzieci, oddawali je dziadom, zamieszkałym w tem ustroniu, a ci kształcili je w grze na lirze i układali do żebractwa, wykalając uprzednio oczy. Uroczysko to ponure, dzikie, w wąwozach i bagnach, we wzgórzach groty, czyli bardziej nory, wyryte w ziemi bujnym chwastem, ścieżki żadnej, prócz tych, które wydeptały dziki, a tych legowiska często przydybywaliśmy, co upewniło nas, że dzikom będziemy zazierać w oczy, jakoż niezadługo psy trafiły odyńca, który prześladowany przez nie przechodził poprzed myśliwych bez strzału. Ostatni strzelec przypuścił go na kroków piętnaście i wymierzywszy strzelił, lecz strzaskał mu tylko dolną szczękę, drugim strzałem lotkami pobił zadnie racice tak, że psy na ogonie mu siedziały, nam zaś przez łomy nie podobna było dobiedz. Noc nie pozwoliła ścigać go dalej, wróciliśmy więc, choć późno do swojej rezydencyi. Dzik pewnie zginąć musiał, bo farby dużo zostawił. Jak się z ogólnej gawędy pokazało, tabun dzików w tem miocie został nietknięty, gdyż psy trafiwszy odyńca, goniły już go, a ominęły łozy i bagna, te właśnie uprzywilejowane miejsca dzików, skąd tylko psy mogły ich wypłoszyć. Wracając napotkaliśmy świeżo przez nie zbitą ścieżkę, co bardziej potwierdziło nasze domysły, że dzik w naszych stronach jest zwierzem bardzo ponętnym, postanowiliśmy nazajutrz jeszcze raz ostąpić tę knieję pomimo, że dzisiejszym hałasem psów była już nieco potrwożona. Ranek był posępny, trochę dżysty, i pogody wróżyć nie można było, zabezpieczywszy się jednak, jak kto mógł od przemoknięcia, ruszyliśmy podwodami do miejsca. Szesnastu strzelców obstąpiło tę samą knieję, psy puszszono. Wkrótce dały się słyszeć dość gęste strzały, bo ledwie nie każdy z nas wystrzelił po kilka razy, byliśmy pewni, że rozbite z gromady dziki tak idą na strzał. Pokazało się inaczej, strzelano nie do dzików psy trafiły na stado sarn, z których zabito pięć, do tego dwa lisy i kilka zajęcy. Dziki tym razem korzystając, że psy zajęte były inną zwierzyną, wymknęły się z kniei tabunem po między dwóch strzelców niepostrzeżenie. Było to pierwsze nasze polowanie w lasach rządowych i pomimo, że zwierza było obficie, powiodło się nam niezbyt fortunnie, ponieważ nie znaliśmy dobrze kniei, a powtóre, że psy dopiero do dzików układać się musiały. Zachęceni taką obfitością zwierza, mamy projekt powtarzać polowania w tych lasach, a oznajomiwszy się lepiej z miejscowością, lepszych rezultatów spodziewać się możemy. Nie omieszkam „Łowcowi" je zakomunikować.

Dodam na zakończenie, że to polowanie miało wiele chwil przyjemnych i wesołych, towarzystwo miłe, humor każdego był dobry, a powróciwszy wieczorem do naszej kwatery, przy wesołej gawędzie przychodziły do głowy różne myśliwskie figle. Był z nami młody człowiek, zupełnie jeszcze nieoznajomiony z myśliwstwem, ledwo może kilka razy w życiu wystrzelił, a na grubszem polowaniu był pierwszy raz. Gdy usłyszał opowiadanie gajowego o dzikach, okazał wątpliwość, by śrót kaczy mógł dzika powalić, zabrał się tedy do robienia kul, któremi na drugi dzień strzelbę nabił. Wypadło mu strzelać kilka razy do lisa, dość niefortunnie, a kiedy lis po jego strzale nadbiegł do mnie, zabiłem go lotkami. A że przy gawędach wieczornych zwyczajnie myśliwi, biorą jeden drugiego na fundę, otóż namówiłem dojeżdżacza, by zdejmując skórę z lisa, ze zdziwieniem przyszedł do nas, wskazując szczególny strzał kulą do lisa. Strzał był koło ogona, nie przebiwszy ani skóry, ani mięsa, a kula wgrzęzła, utkwiona była głęboko..... Śmiech nasz młodego strzelca wcale nie zdetonował, wyrwał kulę i zaczął mierzyć do swojej lufy, będąc upewniony, że to jego kula, a niedowierzając moim lotkom przyjął trofea na siebie. Ów młody człowiek poznawszy się na żarcie, przyjął go jako frycówkę i śmiał się z nami serdecznie ze szczególnego strzału.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

W Suwałkach dnia 1. Listopada 1884 r.

Weszło w przyszłowie: „chytry jak lis“. A jednakże, choć rzadko z gończymi polowałem, nabrałem przekonania, że lis nie jest wcale tak chytrym jak o nim sądzą. Raz w Szwajcarskim lesie usiadłem pod sosną przy drodze, aby trochę odpocząć i posilić się, a chłopak z psami szedł jeszcze opodal za mną. Fuzyę położyłem na wrzosie, a w tem pies o 20 kroków może odemnie zaskowytał nagle i począł gonić na oko. Po chwili wypada wprost na mnie lis. Chwytam fuzyę, a lis zobaczywszy mnie, zamiast rzucić się nazad w gąszcz, wali po odkrytej drodze pod górę. Strzeliłem siedząc z jednej lufy, mierząc w krzyż, lis dał słupka, to jest stanął na tylnych łapach, a przednie podniósł w górę, zaskowytał i uchwycił zębami za swój krzyż. Na tak niezwykły widok zapomniałem strzelić z drugiej lufy, a lis rzucił się za górę i wpadł do pobliskiej nory, skąd go dopiero nazajutrz dobyto nieżywego. Miał cały krzyż postrzelony. Otóż w tym wypadku nie objawił lis przebiegłości, kiedy na 20 kroków mnie nie zobaczył, ani też zwietrzył, a potem zobaczywszy nie rzucił się nazad w gąszcz, ale zmykał odkrytą drogą. W tymże lesie polując z ś. p. K. Z. oddaliłem się był nieco od niego, a gdy psy, goniąc za lisem, ucięły, przysiadłem na ściętym pniu Między psami była i mała suka żółtej maści, Wisła. Otóż kiedy tak siedzę na pniu i trzymam fuzyę na kolanach, wychodzi na 15 kroków owa suczka, siada i zwraca ucho w stronę, gdzie chłopak kiedyniekiedy odzywał się, zachęcając psy. Zdziwiło mnie, że suczka nieruchoma siedzi i przysłuchuje się; a gdym rozglądnął się uważniej, widzę, że to nie suczka ale lis, wysłuchujący głosów chłopaka i psów. Gdybym był ostrożnie podniósł fuzyę i złożył się, byłbym położył lisa, ale zerwałem się i złożyłem, a lis jednym susem pomknął w krzaki i przepadł. Czyż nie dziwna, że lis z odległości 15 kroków nie spostrzegł mnie, ani zwietrzył? Trzeci wypadek jeszcze mocniej utwierdził mnie w przekonaniu, że lis nie ma silnego wiatru, ani też bystrego wzroku. Jednej zimy psy późno pod wieczór pognały za zającem w pole i długo goniły. Ściemniło się, gwiazdy zaiskrzyły na błękicie i mróz począł ścinać; wyszedłem przeto z lasu na drogę i zmierzałem do zajazdu w Szwajcaryi, gdzie stały moje sanie, a chłopakom poleciłem pójść w pole i połapać psy. Kiedy tak idę drogą, nadjeżdża pocztylion i mówi, że o kilkaset kroków od drogi, koło domku drożnika leży od dni kilku padły koń, i że już razy kilka w dzień i w nocy widział przy tym koniu lisy. Idę więc w to miejsce, znajduję konia leżącego na polu na śniegu, już w znacznej części zjedzonego. Z drugiej strony las dotykał samej drogi. Staję w lesie o jakie 25 kroków od konia, obok potężnej sosny, śród gęstego świerkowego zarostu tak, że przedemną było odkryte pole, a za plecami las, i czekam z odwiedzionymi kurkami na lisa. Upłynął kwadrans, pół godziny, ale ciągle ktoś to przejeżdżał, to przechodził. Nareszcie uspokoiło się. Znudziłem się stojąc nieruchomy i wyprostowany z fuzyą gotową do strzału; oparłem się przeto plecami o sosnę, a fuzyę położyłem na zgięciu lewego ramienia. Noc zapadła bardzo jasna, cisza zaległa niczem niezamącona, wytężyłem wzrok w stronę ścierwa. W tem posłyszałem szelest obok mnie w krzakach — patrzę z ukosa na lewo, i widzę na trzy kroki odemnie na skraju krzaków siedzącego lisa, który patrzał w stronę konia i drżał czy to z chciwości, czy też z zimna, raczej z zimna, bo cisnął tęgi mróz i lis podnosił co chwila do góry to jedną, to drugą przednią łapę. Przejęło mnie gorąco, ale ani drgnąłem, a byłbym czekał nieruchomy, aż lis wysunie się z gąszczu na drogę, gdy w tem licho nadniosło jakieś sanie z dzwonkiem, więc lis począł się niespokojnie kręcić. Widzę, że sanie go spłoszą, zmierzam się przeto nagle na lewo, ale nim się złożyłem, już lis wpadł w krzaki. Kiedy sanie przejechały, posunąłem się o kilkanaście kroków dalej i znowu czekam sądząc, żo lis lubo przestraszony wyjdzie do konia nie mogąc się oprzeć pokusie. Wyczekując przemarzłem, więc porzuciłem wreszcie czaty i poszedłem do zajazdu. Stałem jak skała, więc ruchem nie spłoszyłem lisa, a przekonałem się, że o trzy kroki nie spostrzegł mnie i nie zwietrzył. Stąd wniosek, że polując na lisy trzeba stać nader spokojnie i w ukryciu, a niezawodnie lis nie dojrzy ani zwietrzy myśliwego.

R. Wierzbicki.

Z pod Jasła w Styczniu 1885 r.

Zachęcony wezwaniem Szanownej Redakcyi, pospieszam udzielić niektórych wiadomości co do stanu łowiectwa i zwierzyny w powiecie tutejszym a względnie w północnej części tegoż. Powiat Jasielski należy bez wątpienia do najuboższych w kraju pod względem zwierzostanu. Z zwierzyny użytecznej mamy tu jedynie sarnę i zająca, z ptactwa tylko kuropatwę, a jeżeli stosunki łowieckie potrwają u nas w takim stanie dalej, w jakim są dziś, to o szaraku i kuropatwie pokolenia dalsze wyobrażenie takie mieć będą, jakie my mamy obecnie o mamucie, a i sarny, których zaledwo po kilka sztuk w większych kompleksach lasów się znajduje, przy gorączkowem wycinaniu lasów, jako zwierz płochy bardzo, wynieść się muszą szukając ciszy i spokoju. W polu widzisz tylko wronę, srokę i jastrzębia w powietrzu pływającego, lub psa i kota, jednego wychudzonego, drugiego dobrze opasłego, skradających się ku swej zdobyczy. Otóż w korespondencyi niniejszej zamierzam wykazać niektóre ujemności i środki zapobieżenia im, a choćby głos mój był głosem wołającego na puszczy, to jednak rad będę, gdy poruszę kwestyę ważną nie tylko dla właścicieli większych i mniejszych posiadłości, ale też dla całego kraju.

Pierwsze złe wynika z przyczyny samych właścicieli większych posiadłości, mianowicie takich, którzy nie mając dobrze zorganizowanej straży leśnej, swoim leśnym, polowym, kucharzom, lokajom i t. p., tak w polach jak lasach polować pozwalają. Codziennie słyszeć się daje istna kanonada, dreszcz mimowoli przejmuje na myśl, że ostatni może ginie szaraczek, a cóż się tam przy takich myśliwych dziać nie musi, ileż postrzelonej zwierzyny marnieje, a ile zastrzelonej właściciel nigdy nie zobaczy? W Jaśle przed świętami codziennie po kilka sztuk zajęcy kupić można było i to przeważnie od żydów. Zkądże one się tam brały, wszakże właściciele ziemscy i inteligencya polująca ich nie sprzedaje, kiedy oni zaledwie przy uroczystościach jakiego zajączka mieć mogą. Polując w kilkadziesiąt nagonki i kilkunastu myśliwych najwyżej cztery lub pięć zajęcy ubić można, i to u nas już za dobre polowanie się uważa. U takich, którzy z psami gończymi polują lub polować pozwalają, praktykuje się u nas i to nawet, że włościanin, dzierżawiący polowanie gminne, a mający w tem terytoryum 20 morgów krzacząt, z gończakami poluje. Ochrony zwierzyny u nas wcale nie ma, w całym powiecie istnieje ona jedynie w Państwie Bieździatki, posiadłości hr. Romera, gdzie w zimie dostarczane bywa zwierzynie pożywienie, dla sarn lizawki, tam polowanie z gończymi nigdy się nie odbywa, a za ubijanie zwierzyny drapieżnej strzałowe dla straży leśnej wyznaczono. Wprawdzie jednostka w powiecie całym, to istna kropla w morzu, ale dobry to przykład, oby tylko znalazł naśladowców. Są u nas i tacy, którzy nie dbając o swe dobro,

gminnych polowań sami nie dzierżawią, lecz je włościanom i znanym kłusownikom zadzierżawiać dozwalają. Zresztą i to bardzo przyczynia się do wytępienia zwierzostanu, że znaczna część włościan posiada bezprawnie broń palną.

Przejdźmy do środków, jakimiby można zapobiedz zupełnemu wygubieniu pożytecznej zwierzyny. Odnośnie do właścicieli większych posiadłości: *a)* nie dawać pozwolenia polowania myśliwym niefachowym; *b)* polowania z psami gończymi zupełnie zaniechać, a polować tylko z nagonką; *c)* polowanie gminne w dobrach swoich zadzierżawiać; *d)* ochronę zwierzyny pożytecznej, a tępienie drapieżnej zarządzić. Do wykonywania środków powyższych skutecznie pobudzić mógłby Oddział Towarzystwa rolniczego lub też Wydział Rady powiatowej; *e)* zawiązać Towarzystwo myśliwskie powiatowe, którego byłoby zadaniem dzierżawić polowania gminne, których właściciele większych posiadłości zadzierżawić nie chcą lub też takie, które właściciele sami lub sekwestr w dzierżawę puścić zamierzają; polowania w nich dla własnej przyjemności urządzać; dla ochrony zwierzyny pożytecznej od kłusowników i drapieżnej zwierzyny w rewirach, rozdzielonych między członków Towarzystwa, przysięgłych dozorców utrzymywać; premie za odebraną od kłusowników zwierzynę wyznaczać; jednem słowem zająć się pielęgnowaniem myśliwstwa i przestrzeganiem krajowej ustawy łowieckiej. Towarzystwo takie łatwo da się zawiązać, trzeba tylko inicyatywy, a tego mógłby dokonać delegat Towarzystwa łowieckiego lub który z właścicieli większych posiadłości, przy dobrej woli i energii dobry skutek nastąpić musi, nie wątpię. Co do środków dotyczących Władzy byłoby bardzo pożądanem, aby Świetne Starostwo pozwolenia na broń do polowania udzielało wyłącznie ludziom znanym z swego charakteru i tylko fachowym myśliwym, prześladowało i surowo karało nieuprawnionych do noszenia broni i konfiskowało im ją. Najskuteczniej mogłyby Władze zapobiedz kłusownictwu ogłoszeniem rozporządzenia, o ileby się takowe krajowym ustawom konstytucyjnym nie sprzeciwiało, iżby c. k. żandarmerya lub policya zmusiła każdego zwierzynę sprzedającego do wylegitymowania się świadectwem, iż ją prawnie posiada, w przeciwnym razie ostro karała.

Postarajmy się wprowadzić owe środki zaradcze w życie, a w krótkim czasie cieszyć się będziemy pomyślnym rezultatem, jak to już się dzieje w innych powiatach, wtedy zamiast widzieć wrony, sroki, jastrzębie, psy i koty usłyszymy i zobaczymy, jak kuropatwa cięgoce lub bije przepiórka, jak chica kica, przycupa kopyra. Jakaż to rozkosz byłaby dla myśliwego! Więc warto trudu nie żałować dla własnej przyjemności i korzyści i dla pomnożenia dobra kraju choćby w drobnej cząsteczce. Szanowny delegacie Towarzystwa łowieckiego wstaw się za nami, Szanowny Wydziale Towarzystwa łowieckiego przyczyń się za nami, Świetne c. k. Starostwo zmiłuj się nad nami, abyśmy od uprawnionych i nieuprawnionych kłusowników uwolnieni być mogli. *S. M.*

KRONIKA.



W obec świeżej mogiły, usypanej na zwłokach zgasłego w sile wieku ś. p. Witolda hr. Potockiego, ciśnie się pióro do ręki, aby choć w kilku słowach uczcić Jego pamięć w tem piśmie. Krótka lecz niebezpieczna choroba, wyrwała Go nagle w d. 11. Stycznia r. b. z pośród nas, i okryła smutkiem Jego liczną rodzinę, a napełniła wszystkich Jego przyjaciół i znajomych szczerym i nieudanym żalem. Nie dane jest każdemu, na tym padole ziemskim, wybić się po nad poziom ogółu swych towarzyszy, nie wszyscy mogą w tem życiu dokonać czynów, któreby pamięć ich uświetniły i przekazały potomności. Wśród dzisiejszego gorączkowego życia, wśród różnorodnych prądów idei i kierunków, nie każdy potrafi zachować równowagę, aby nie zboczyć z drogi, którą mu przeznaczenie wskazało. Nie zszedł z niej ś. p. Witold hr. Potocki. Szanując tradycyę, zasady i wiarę przodków swoich, nie poszedł drogą, na której stać tylko można w miejscu, bo zapartą skałą spleśniałego i bezwzględnego konserwatyzmu, ani też pobiegł po wydeptanej przez szalonych apostołów nowoczesnego quasi-postępu, która w otchłań zniszczenia i przewrotu zawieść tylko może; wybrał On najlepszą drogę życia, bo oświetloną zasadami religii, prawości i honoru. Kochany w rodzinie, lubiany, szanowany i ceniony przez wszystkich, wesoły, miły i wykształcony towarzysz, był także wybornym myśliwym, i to w całem znaczeniu tego wyrazu. Rozumiał, że polowanie nie na celnem strzelaniu tylko zależy, z zamiłowaniem go prowadził i opiekował się niem racyonalnie; a już to, czy z wyżłem na polu lub błotach, czy w kniei z nagonką, trudno było znaleźć weselszego i milszego towarzysza. Składając tych kilka słów Redakcyi „Łowca“, którego był stałym współpracownikiem i wielkim protektorem, upraszam o umieszczenie ich w najbliższym numerze, gdyż są one wyrazem szczerego i serdecznego żalu, jakim smutna wiadomość o tym przedwczesnym zgonie, napełniła serca wszystkich Jego przyjaciół, znajomych i towarzyszy w myśliwskim zawodzie.

Z Krakowskiego, Styczeń. *W. N.*

Stare Brody, 17. Stycznia.

W roku 1884 polowania błotne w okolicach Brodzkich nie były zbyt świetne, dubeltów było mało, w czasie najlepszego ciągu we trzech zabiliśmy 158 w przeciągu dni ośmiu. Później zabiłem sam w końcu Sierpnia 53. Zły to bardzo rezultat, bo w r. 1882 zabiliśmy we dwóch jednego dnia na Sznyrowie 88. Kuropatw było bardzo wiele, nawet tam, gdzie nigdy nie bywały. Od 18. Sierpnia do końca Września polowałem na nie 14 razy i zabiłem 129, zostawiając po 10 i 12 sztuk w stadzie, a były stada, z których ledwie po kilka sztuk urwałem. Dwie zimy bez śniegu pomnożyły nam i ochroniły kuropatwy. Chruścieli dużo się pokazało w końcu Września na zrębach. Przepiórek było wiele, mało na nie polowałem, ale ile razy były potrzebne na rosół (według mego zdania w rosole najlepsze), to zawsze około 20 bez trudu zabijałem. Kaczek w naszej okolicy nie mało, ale ja tego rodzaju polowania nie lubię. Zajęcy mieliśmy więcej jak w latach przeszłych. W Październiku polowałem z chartami, pogoda sprzyjała, więc zebrawszy się w kilku przez cały ten miesiąc bawiliśmy się doskonale. Jeździliśmy co dzień prócz niedzieli, uszczuliśmy 62 zajęcy i to jedną białą suką pana Mazewskiego, a żaden nie uciekł. Polowaliśmy z paniami, które powozami i jako amazonki nam towarzyszyły. Caca, mała charcica p. Mazewskiego, była prawie na rękach noszoną i całowaną przy każdym wziętym zającu, którego zawsze żywego trzymała. W kniei zacząłem polować od św. Huberta, bo sąsiad mój Bogusław Horodyński w Korsowie co roku w tym dniu u siebie poluje. W pięć strzelb zabiliśmy w dwóch dniach 56 zajęcy, 2 rogacze, 2 lisy i kunę leśną, na ile strzałów nie pamiętam, ale strzelano bardzo dobrze. W porównaniu z przeszłym rokiem stan zajęcy podwoił się, sarn także widziano w każdym miocie po kilka sztuk, a w jednem stadku siedmioro, gdy przed trzema laty w całym lesie były trzy sztuki. Las Korsowski graniczy z Wołyniem, są z tego powodu wielkie niedogodności, bo sarny przechodzą za granicę, gdzie je strzelają, nie oszczędzając płci pięknej. Jarząbki także w tym roku tam wywędrowały, bo mimo licznej straży leśnej i wielkiej ochrony zwierzyny, nie zginął w tym roku ani jeden na polowaniu, gdy w poprzednich latach padało zawsze kilka. Las ten graniczny ma jednak także swe dobre strony, bo w tych ogromnych borach jest wiele dzików, a po śniegu przechodzą często w Korsowskie. Straż leśna obcina codziennie

granicę, a gdy co weszło, daje znać do dworu. Tropią dobrze, i już, jeżeli się nie mylę, ubito 7 dzików w przeciągu dwóch zim. Ciekawy był dublet do ogromnego odyńca i lochy p. Horodyńskiego, który mnie prosił, abym fakt ten opisał. Nie byłem na tym prażniku, więc tak jak mi z detaliami opowiadano, powtarzam. Dano znać, że obcięto stadko, z 7 sztuk złożone. Nikogo nie było wtedy u Bogusława H., więc bierze on ekonoma, gorzelnika i leśniczego, i we czterech stają na linii. Jeszcze nagonka nie ruszyła, widzi Horodyński na dwieście może kroków idącego stępo odyńca, który staje, podnosi ryj i zaczyna wietrzyć, trwało to chwilę, poczem zwraca się i znika. Po kilku minutach pokazuje się całe stado, posuwające się swobodnie tym samym tropem. Było to całe wesele z samych dużych sztuk, ogrom odyniec, wycinek, samura i jeszcze czworo dużych. Idą wprost na Horodyńskiego, samura z wycinkiem przechodzą na 10 kroków, odyniec zaś staje na kroków 30 za kłodą. Trwa to kilka minut, przytem zalecanki i kwiki ciągłe. Nakoniec odyniec ruszył się i Bogusław strzelił z jednej lufy do niego, a z drugiej do uciekającej sztuki, która ubiegłszy kroków 180 przewraca się. Całe stado zatrzymuje się, a wraz z niem i strzelany odyniec, który w najlepsze zaczął się umizgać do zabitej, i gdy wycinek podszedł, to kłem go poczęstował. Las Korsowski dębowy podszyty jest leszczyną, gdy liść opadnie, bardzo daleko widać. Nagonka tymczasem zbliżyła się, padła samura pozostała, odyniec przeszedł wolno ponad nagonką do przyległego miotu, a pięć sztuk wyszło na ekonoma, który na kroków 20 z obu luf spudłował, a sąsiadowi jego strzelba nie wypaliła. Po skończonym miocie znaleziono odyńca o jakie tysiąc kroków nieżywego Dublet ten do weselnej pary zdarzył się w końcu Listopada. — Mało polowałem tej zimy, zabiłem 3 rogacze, 2 lisy, 27 zajęcy, 2 jarząbki z których jednego bez strzału złapałem ręką, ukrytego w śniegu tak że tylko ogonek był widoczny. Nic to nadzwyczajnego, często się to z jarząbkami przydarza. W r. 1884 zabiłem razem sztuk 450, z tych 62 zajęcy uszczułem, ptactwa 344, szkodliwej zwierzyny 35 sztuk.

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego:

Agopsowicz Antoni.
Brożyński Leon.
Garwoliński Henryk.
Hetper Karol, c. k. zarządca lasów.
Jodłowski Jan Dr.
Kruszyński Leon.
Mandyczewski Starża Stanisław.
Morsztyn Henryk hr.
Potocki Witold hr.
Puzyna Juliusz kniaź z Narola.
Sarnecki Stanisław.

Z Tow. myśliwskiego Pruchnicko-Kańczudzkiego.

Pomimo że szan. Redackcya „Łowca“ w nr. 1. z dn. 1. Stycznia 1885 r. w dopisku, zamieszczonym w Kronice pod artykułem zatytułowanym „ze Stanisławowskiego“, napisała, że o czteroletniem istnieniu naszego Towarzystwa dziś dopiero otrzymała niedokładną wiadomość, a jednak wiadomość o niem umieszczona jest w kalendarzach z r. 1884 i 1885, jakoteż w sprawozdaniach w „Łowcu“; mimo to ośmielam się zdać sprawę z ostatniego naszego polowania i z wypadku z lisami, jaki się na niem zdarzył. Braliśmy kociołek, mający mniej więcej 100 morgów obszaru, przez który przechodzi droga polowa z mostkiem murowanym w ten sposób, że cegły są na sztorc stawiane, a górne ich części z sobą się stykają. Zamknąwszy kociołek spostrzegamy w nim dwa lisy z których jeden party przez nagonkę i myśliwych schował się pod wiązeczkę słomy, znajdującą się tam przypadkiem, a gdy nagonka się zbliżyła, wystraszony wyskoczył z niej i znalazł śmierć. Drugi lis umknął pod mostek. Najrozmaitsze były projekta, jak go ztamtąd wydobyć, jeden z towarzyszów chciał wyskakującego z pod mostka chwycić za kitę, z nim ku powszechnej radości kilka młyńców zrobić, a następnie rzuciwszy go oddać na pastwę strzelbom, inne wszakże zdanie przeważyło. Po półgodzinnem niemal podkurzaniu i szturkaniu kijami wyskoczył mekita z pod mostka zawalany i obłocony i nie ubiegłszy 20 kroków padł trupem. — Na tem polowaniu w kociołkach ubito 3 lisy i 24 zajęcy. Mała ilość zabitej zwierzyny tem się tłumaczy, że prawie drugie tyle zajęcy uciekło niestrzelanych a lisów zastaliśmy 4, z których 3 padły, a jeden uciekł w kociołku do nory. *Z. W.*

P. R. Wymieniony dopisek Redakcyi pod artykułem: „ze Stanisławowskiego“ odnosi się do „Klubu myśliwskiego Diany w Łańcucie“, o którym zdał sprawę w nr. 1. „Łowca“ p. Miłkowski. O nim istotnie nie otrzymaliśmy żadnego sprawozdania, nie umieściliśmy też o nim wiadomości ani w „Łowcu“ ani w Kalendarzu. Rzecz tedy polega na nieporozumieniu, które wyjaśniamy upewniając sz. Towarzystwo Pruchnicko Kańczudzkie, że istnienie jego i działanie dobrze nam są znane.

W dniach 11. i 12. Listopada odbyło się w Rożnowie (w Sandeckim), w majątku hr. Jana Stadnickiego, polowanie w 6 strzelb, na którem na 55 strzałów zabito 2 kozły, 5 lisów, 19 zajęcy i 1 kota. Majątek ten przed dwoma laty przeszedł w posiadanie obecnego właściciela, który odebrawszy obszerne, ale zniszczone lasy, podniósł je forsownem prowadzeniem kultur i doprowadził stan zwierzyny do tego stopnia, że, gdy przed dwoma laty na tych samych obszarach z wielkim trudem ubito ledwie 9 zajęcy, w tym roku we wszystkich miotach widziano sarny, a wiele zajęcy przeszło chybionych lub niestrzelanych z powodu gwałtownej śnieżnicy, która cały drugi dzień polowania popsuła. Jak daleko posuwa się zuchwałość kłusownika, niech posłuży za dowód następujący fakt. W pierwszym dniu polowania myśliwi, zachodząc na stanowiska, spostrzegli zdala trzy sarny na wyrębie, które po chwili znikły w lesie. W tem padły dwa strzały. Wysłany natychmiast strzelec znalazł kozę z odbitym badylem. Podejrzenie padło na znanego kłusownika, którego przedtem widziano kręcącego się koło lasu. Rewizya nie zastała go w domu, lecz znalazła całe futro, podbite sarniemi skórami, co świadczy, ile ów człowiek szkody tej zwierzynie wyrządził. Tem się też da wytłumaczyć, że sarny były tak popłoszone i na linię wyjść nie chciały pomimo wzorowego prowadzenia nagonki. Kijami nawet nie dały się nawracać na linię, gdy usłyszały strzały. W każdym miocie były sarny, a dwa tylko kozły wyszły na strzał. *S. M.*

Wasylówka (Ukraina).

Uważam za obowiązek uwiadomić o oryginalnem rybackiem polowaniu jakie się wydarzyło w roku ubiegłym na Podolu w miejscowości, gdzie Boh przecina obszerny las rządowy, dzieląc go na dwa rewiry: Kalinowiecki i Miedziakowski. Miejscowość ta sprzyja rozpłodowi dzików, i polowania na nie bywają tu często pomyślne. Otóż myśliwi polując z pogonką w miesiącu Lutym, kiedy Boh bywa we środku rozmyty, a lód tylko przy brzegach się utrzymuje, ruszyli stado dzików, które przebiwszy się przez linię myśliwych tabunem sztuk szesnastu, próbowały dostać się na drugą stronę Bohu. Usiłowania ich były daremne, cały tabun zatonął. Rybacy, wcale nie wiedząc o tej katastrofie, zarzucili w tem miejscu niewód na ryby, a wyciągnęli kilka warchlaków. Dowiedziawszy się później o smutnej przygodzie, jaka spotkała dzików, postanowili wyłowić resztę ofiar, co też się udało, bo prawie całą gromadę wyłowili. Rybołowstwo to odbyło się nazajutrz po niefortunnej nawigacyi dzików. Tłuszczu zebrano wiele, mięso rozsprzedano pudami, a skóry zakupił pewien aferzysta, od którego jeden z moich znajomych nabył największą, i pod nogi ją gościom ścieli.

Antoni z Rokszyc Zapolski.

Okropny wypadek. Między Liskiem a Baligrodem wydarzył się w tych dniach następujący tragiczny wypadek. Jechał ksiądz unicki z żoną i dzieckiem na pogrzeb, gdy nagle w lesie ukazało się kilka wilków, których uląkłszy się konie, szarpnęły sanki i dziecko z rąk matki wyleciało na śnieg. Wilki rzuciły się z całą wściekłością na nieszczęśliwą ofiarę, którą, gdy ojciec wyskoczywszy z sanek, chciał im z paszcz wyrwać, sam przepłacił życiem. Wdowa, którą przestraszone konie wraz z furmanem poniosły, wróciwszy do domu zakończyła nazajutrz życie na pęknięcie żółci, i furman niedłużej także przeżył straszną trwogę, jakiej doznał w skutek tej okropnej katastrofy. Nazajutrz leśniczy spotkał trzy wilki, zajęte rozdzieraniem prosięcia, i tej okoliczności zawdzięcza, że się nie rzuciły na niego. „Gaz. Nar.“

P. R. Przerażający ów wypadek dotąd w kilku niedostatecznych słowach opisany, oczekujemy szczegółów.

Z nad Pilicy — Styczeń 1885 (Kr. Pol.)

W dniach 7. i 8. Stycznia odbyło się polowanie w Chrząstowie, u hr. Rodryga Potockiego. Piękny czas sprzyjał myśliwym, to też i rezultat polowania nader pomyślny. Myśliwych było jedenastu. Pierwszego dnia spolowano w głębokim lesie, w rewirach Michałowskich, zakładów siedm, drugiego dnia w Ludwinowie, w okrajkach, zakładów sześć, ogółem opolowano około 700 morgów. W ciągu tych 2 dni ubito: rogaczy 6 (strzelano do 9), zajęcy 94, kuropatwę 1, razem sztuk 101. Sylwanka szprzyjała niżej podpisanemu, który zrobił dublet do rogaczy i to pierwszy w swym zawodzie myśliwskim; to też dzień 7. Stycznia, spędzony na polowaniu w Chrząstowie, będzie dla niego na zawsze naj-

milszem wspomnieniem. Stan sarn bardzo piękny, zajęcy dużo, osobliwie w rewirach Michałowskich, położonych we środku rozległych lasów, cietrzewi bardzo mało, lisa widziano tylko jednego, co jest najlepszym dowodem, że służba leśna wypełnia sumiennie swe obowiązki, prześladując czworonożnych i dwunożnych kłusowników. Liczna nagonka, mimo gęstwin i innych naturalnych przeszkód leśnych, prawidłowo na liniję myśliwych przechodziła; w ogóle polowanie wybornie prowadzonem było, bez wielkiej straty czasu w przechodzeniu z jednego miotu do drugiego, co w tak dużych lasach nie jest zbyt łatwem. Jeden dzik w pierwszym miocie, wyniósł się bokiem bez strzału. Zadziwiony byłem pięknym stanem pożytecznej zwierzyny tembardziej, że lasy te obciążone są służebnościami, a każdy prawie chłop w tych leśnych stronach, to kłusownik z krwi i kości; tem większa zatem zasługa właściciela i jego zastępców, że potrafili wpoić w służbę leśną sumienność i zamiłowanie w wypełnianiu swych trudnych obowiązków. *Trzebiński.*

———

Węgrzec 22. Grudnia.

W ubiegłym tygodniu polowałem w Łąkcie Górnej w starostwie Bocheńskiem. Położenie majątku tego pod względem myśliwskim wyborne, jakby stworzone na zwierzyniec naturalny, bo są i lasy i laski i potoki i parowy i góry i skały, w ogóle jest to miejsce dla zwierzyny, jak równego nie znam. Myśliwy jednak nie znajdzie tam wielkiej uciechy, bo biednej zwierzynie nie pozwolą wzróść w znaczniejszą liczbę. Naszą plagą są kłusownicy, tem groźniejsi tutaj, że nie ograniczają się na samą strzelbę, lecz głównie używają rozmaitych sidełek i łapek. Za mojej bytności znaleźliśmy w potokach cztery druty zastawione na zająca i ośm sidełek z włosia końskiego na kuropatwy. Głównym kłusownikiem polującym i zastawiającym druty i sidełka jest wójt gminy Łąkty Józef Mikulski. Podaję tutaj nazwisko jego w tej nadziei, że może który z członków Tow. łow., w braku nader pożądanego delegata na ten powiat, będzie mógł wymódz u c. k. Starostwa w Bochni poskromienie tego zuchwałego kłusownika. Dodać winienem, że opierając się o jego powagę wójtowską i inni obywatele Łąktańscy systematycznego tępienia zwierzyny się dopuszczają. *Wł. Zaleski.*

———

Turówka 21. Grudnia.

Dnia 16. i 17. b. m. polowaliśmy w Sidorowie koło Husiatyna, w dóch laskach około 200-morgowych, w 8 strzelb. Zabiliśmy 67 zajęcy, 3 lisy i 1 rogacza. Szczególnie w mniejszym lasku, przytykającym do wsi, była ogromna ilość zajęcy lubo dzień był prześliczny, a pola zupełnie odkryte. Zima tegoroczna o ile gospodarzom nieprzyjazna, o tyle sprzyja bardzo zającom, bo oziminy nie zamarznięte i po większej części odkryte i widać na ubitych zającach, że im pokarmu nie brakowało. *Bronisław Rozwadowski.*

———

21. Grudnia.

Dnia 20. b. m. odbyło się polowanie u p. majora Pawlikowskiego w Brześcianach w 10 strzelb. Ubito 33 zajęcy, 4 lisy, 4 rogacze. W ostatnich dwóch miotach nie strzelano do zajęcy, do kozłów tylko starych, innych nie wolno było strzelać. Stan zwierzyny jest tak bogaty, jakim w okolicy żadna knieja nie tylko w tym, ale nawet w najlepszych latach poszczycić się nie może. *Jan Ostrzechowski.*

16. Stycznia.

W majątku Eksc. hr. Wilhelma Siemieńskiego w Złotnikach ubito na polowaniu dn. 7. b. m. w pięć strzelb, w sześciu miotach 65 zajęcy, 2 rogacze i 4 lisy.

———

Z Bełskiego.

Niespodziankę wcale nieprzyjemną sprawił rolnikom śnieg listopadowy, który pokrył ziemię na łokieć wysokości. Śnieg ten straszny dla ozimin, dla myśliwstwa był pożądany. Polowali też kniejarze i charciarze. Krótkie jednak były te gody łowieckie po śniegu, wnet śnieg znikł i podobno nie rychło znowu nawalnie spadnie, bo sikorek było o wiele mniej, jak w zimach śnieżnych i mroźnych, a i ta szczupła ich garstka odleciała przy pierwszej odwilży, zapewne w Karpaty. Lud nasz prawie nieomylny w przepowiedniach zjawisk atmosferycznych. Mówił on teraz: „Śnieg pcha się po kątach“ lub: „Śnieg bawi się w mularza“, czyli wiatrem niesiony oblepia ściany budynków i pnie drzew, co jest niezawodnym znakiem zupełnej odwilży. Tak też było teraz i śnieg znikł. Dawne przypowieści mówią:

Gdy w Grudniu kazidroga (po dawnemu Marzec)
W kazidrogę sanna droga.

lub: Urodziny (Boże Narodzenie) po wodzie,
Zmartwychwstanie (Wielkanoc) po lodzie.

Zajęcy i kuropatw nadspodziewanie wiele w naszej okolicy, nie wszystkie jednak wykociły się i wylęgły u nas. Zające i kuropatwy nie mogąc z powodu tegorocznych słot utrzymać się w sąsiednich pozabełzkich nizinach, szukały schronienia w naszej wyżej położonej okolicy. Zwykle nie wiele u nas tej zwierzyny, bo nie mamy naturalnych lub sztucznych remiz, w których i kuropatwa się lęgnie i koci się zając. W roku 1884 wziąłem z chartami i na strzelbę od połowy Września do Grudnia 43 zajęcy, kuropatw żywych pod rozjazd 16, a 5 ubiłem. W całym przeszłym roku wziąłem zajęcy ledwie 17., kuropatwy ani jednej. Ztąd wnioskuję, że ta zwierzyna w niekorzystnych latach odbywa dalsze lub bliższe wędrówki, szukając dogodnych dla siebie warunków. W Wrześniu r. b. widziałem w lesie Wierbiąża kilka razy dwie pary sarn, czego dawniej nigdy nie bywało. Właściciel tego majątku łudzi się nadzieją, że one tam pozostaną i rozrodzą się, ja jednak jestem pewnym, że wkrótce znikną, bo sarny nie utrzymują się długo w małych laskach, zwłaszcza gdy w nich nie ma stałej źródlanej wody. Mimo takiej zawiei o wilkach nie było słychać. Okolica cała zawdzięcza to słynnemu myśliwemu p. Kownackiemu z Świtażowa, który nieubłaganym jest tępicielem tych rabusiów. Donoszono w „Łowcu“, że u zajęcy pojawiła się motylica, my tu jej wcale nie dostrzegliśmy. *C. P.*

———

Z pod Złoczowa.

Wedle starej tradycyi zjechał św. Marcin na białym koniu, tym razem sprawił niespodziankę, wszelkie bowiem pozory kazały się spodziewać po kilkudniowej zimnej jesiennej słocie, pogody i ciepła, czyli tak zwanego „Marcinkowego lata“, krótkotrwałego zwykle. Inaczej się stało, mróz dochodził u nas do 15 stopni. Wszelkie wskazówki ciepła, pogody, wczesnej lub późnej zimy dadzą się z wielu oznak atmosferycznych i z zachowania się dzikich zwierząt w całej Polsce przewidzieć, ale nie w naszej podkarpackiej Galicyi. U nas pełno niespodzianek, tyle szkodliwych dla rolnictwa i łowiectwa. Młode zające i sarny często padają ofiarą zmiennego klimatu, „parkanie się“ lub ruja tych zwierząt, odbyta w należytej porze, nie chroni płodu od zagłady z powodu mrozów i śnieżnic marcowych, a nawet majowych. Trudno obliczyć, ile młodzieży wyginie w tych miesiącach. Najracyonalniejsze pielęgnowanie zwierzyny łownej nie zdoła w anormalnych latach, niestety zbyt częstych, naprawić szkód przez wpływy atmosferyczne poczynionych. Nieraz słyszałem narzekania leśników na nadmiar sarn i zajęcy w naszych kniejach i na szkody wyrządzane przez nie kulturom leśnym. Jakkolwiek wskutek gorliwych usiłowań gal. Tow. łowieckiego zwierzostan w kraju naszym znacznie się pomnożył, to jednak do nadmiaru jego jeszcze nam daleko, więc narzekania na szkody nazwę przesadnem. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć zbyt obszernych przestrzeni, zasianych lub zagajonych sadzonkami drzewek. Małe przestrzenie łatwo ogrodzeniem lub innym sposobem zabezpieczyć można. Nie dziwię się, iż panowie leśnicy radziby ochronić swe kultury i z energią występują przeciw wszelkim w tym względzie przeszkodom. Gdyby oni jednak dokładniej znali obyczaje sarn, to pewnie nie pragnęliby uszczuplenia liczby tej zwierzyny. Wybijanie sarn lokalne nie jest środkiem praktycznym i pożytecznym, ponieważ one mają zwyczaj pod naciskiem pewnych warunków, szczególnie braku żeru odbywać często dalekie wycieczki, bo właśnie owe zagajenia, szkółki lub kilkuletnie zasiewy leśne, dostarczające żeru, ściągają sarny z dalekich stron. Zresztą Ustawa normująca stan którejkolwiek lub w ogóle zwierzyny jest niemożliwą. Sądzę, iż nasi leśnicy z całą swoją niepospolitą fachową wiedzą nie są miłośnikami przyrody i prawdziwymi myśliwymi. Głównym tego powodem jest brak wiedzy ściśle łowieckiej, której przecież jeżeli nie w szkole, to własną pracą nabyć mogą, a w takim razie przekonają się, że Flora bez Fauny przestałaby być żywą i powabną, bo rozlegałaby się śród pustyni. Znam Czechy i niektóre austryackie i niemieckie prowincye, w których kultura leśna stoi na wysokim stopniu, a jednak tam leśnicy nie narzekają na istotnie bogaty zwierzostan, owszem pragną go pomnożyć, bo każdy leśnik jest tam naukowo wykształconym myśliwym i zna środki ochrony swych zagajeń i szkółek. Ogradzają je lub też poddają żer w porze zimowej, w której zwierzyna z powodu braku żeru najwięcej czyni szkody, ogryzając wierzchołki lub pędy młodych drzewek. Ale i u nas doktrynerya wkrótce ustąpi wobec istotnego pożytku, a stanie się to, gdy nasi leśnicy będą myśliwymi, myśliwi leśnikami, czyli gdy znawstwo i miłośnictwo przyrody rozszerzy się i da podstawę do racyonalnego sądu i działania. *Nie...*

———

W dniach 14., 15., 16. i 17. Stycznia b. r. odbyły się polowania u hr. Stanisława Stadnickiego w Krysowicach. Uczestnikowi tego polowania nasuwa się myśl, iżby dobrze było zumknąć nim rok myśliwski, pod każdym bowiem względem polowanie świetne, świetnie zakończyłoby każdy myśliwski dziennik. Przedewszystkiem organizacya tego polowania jest tak znakomitą, iż za wzór służyć i szkołą tej sztuki nazwaną być może. Tradycyjna niepogoda ustąpiła znośnemu przynajmniej czasowi, co najgorzej zającom we znaki się dało, w jednym bowiem dniu w drobnych zagajeniach ściągnięto 100 kotów na rozkład. Stan sarn znakomity; rewiry nawet przed rokiem klęską motylicy dotknięte, już zaczynają na ilości zyskiwać. Z „czarnem“ się nie wiodło, ale to już nie tego zwierza wina, strzelano dziś bowiem w kilku miotach, niestety dsiwnie niefortunnie tak, iż jednego tylko dzika zabito, a przy miernem strzelaniu można było przynajmniej 6 sztuk sobie obiecywać. Może energią i sprężystość szan. gospodarza dziki sobie przyswoiły, a energicznie z miotu wychodząc, trudności nieprzezwyciężone myśliwym stawiały? I w tem widzę dzicze szczęście, iż dwom myśliwym do tych samych dzików w dwóch innych miotach broń zawiodła, a tak się spisały dwie strzelby rozmaitego systemu Lankastra i Teschnera. Może nareszcie systemy te, nieszczęściem wspólnem dotknięte, zaprzestaną zwad i zawistnych sporów a przyznając sobie wzajemnie niektóre ujemne strony, zgodniej na siebie patrzeć będą. Ogółem zabito w dniach czterech w mniej więcej 8 strzelb: dzika 1, rogaczy 20, lisów 29, zajęcy 195. *T. W.*

W miesiącu Lutym pozwala Ustawa strzelać do słonek, rogaczów, lisów (do połowy miesiąca), głuszców i cietrzewi, dropi i pardw, wreszcie do ptactwa błotnego i wodnego.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.

Pogadanka wilijna o rybołowstwie.

Przy wilijnym stole, po łamaniu opłatka i zamianie życzeń „Dosiego roku“, przeplatanych wspomnieniami dawnych „lepszych czasów“ — rozmowa zwraca się w przyszłość, a nie jeden gospodarz przy tej biesiadzie chrześciańskiej smutne tylko wysnuwa przewidywania Oto w kątach jadalnej komnaty starym zwyczajem stoją snopy zboża — ztąd skargi na zły omłot, brak kupca, spadek cen i te zamorskie kraje, które przyciągają rok rocznie do siebie nowe wędrówki włościan polskich, a w zamian za ten kapitał pracy zalewają starą Europę zbożem. Polska, jak się szczyciła niegdyś, że była przedmurzem Europy i obroniła chrześciaństwo od pohańców — tak szczyciła się tem niemniej, że była spichrzem Europy: „więcej chleba niż potrzeba i kraj wielki dały nieba“... Dziś, pożal się Boże! i matka ziemia skąpi swych darów, a naszej sandomierki poszukują chyba na opłatki wilijne, bo chleba dostarczą Indye i Ameryka...

Wtem wnoszą olbrzymiego szczupaka na desce, a według przysłowia *post pisces vinum misces* — więc jakoś przybywa animuszu i od zwykłych utyskiwań rozmowa zwraca się na weselsze tory.

Ktoś wszczyna rozmowę o regulacyi rzek, o świeżem zapewnieniu projektów sejmu. A inny nadmienia: czy to tylko ochrona od klęsk wylewów, a z wód naszych stojących i płynących nie możnaby większego niż teraz wyprowadzić pożytku. Jakoś to dawniej i pod tym względem lepiej bywało — całe bogactwo nie opierało się tylko na ziarnie, ale tę wieś ceniono sobie najwięcej, która miała: „ryby, grzyby — łąkę, mąkę“. A dziś ten szczupak, którego zastawiono na wilijnym stole, kupiony w mieście, może sprowadzony z zagranicy, bo groble ostatniemi powodziami na stawach pozrywane. Łososia się nie dokupić, choć ma ojczyznę w Dunajcu i jego górskich dopływach. W Krakowie tam jakiś profesor — jak czytamy w dziennikach — zajmuje się skrzętnie puszczaniem zarybków do rzek, ale daremna to robota, bo w braku wszelkiego dozoru i karności w gminie, chłopcy wyłowią narybek, zanim podrośnie, a tam nawet, gdzie ryba z dawien dawna trzymała się naszych rzek, teraz nie ma komu przestrzegać, aby zaniechano tej psoty w czasie tarła.

I wszystko idzie w niwecz — jak upadły sady po wsiach, pasieki, chów drobiu, do czego znaglał przymus pańszczyzniany i obowiązek danin *in natura*, tak upadło w całym kraju rybołowstwo. Jeszcze produkcya zwierzyny jako tako się utrzymała, owszem, w wielu okolicach znacznie się podniosła, dzięki większemu zamiłowaniu w sporcie myśliwskim. Lepsza tu opieka i dozór przeciw kłusownikom, są i ustawy zabraniające polowania w czasie niedozwolonym; czyliżby czegoś podobnego nie dało się przeprowadzić i co do rybołowstwa?

Teoretycznie, naukowo zbadał tę rzecz ów wspomniany profesor krakowski, Dr. Nowicki, sporządził on mapę wód naszych, dzieląc ją według ich mieszkańców na krainy pstrągów, łososi i innych obywateli płetwistych. Żartowano sobie, kiedy Sejm uchwalał ustawę o ochronie świstaków w Karpatach, lub o opiece nad ptactwem — bo z czegoż u nas nie żartują. Wszystko sobie lekceważymy, co małymi środkami dąży do zachowania i pomnożenia darów tej ziemi, którymi szczodrze Opatrzność nas uposażyła — jedna tylko ustawa byłaby popularną, to na temat „pieczonych gołąbków“.

Jak bogatą jest fauna polska, o tem przekonać się chyba trzeba w Muzeum hr. Dzieduszyckiego we Lwowie i w zbiorach uniwersyteckich i akademickich Krakowa.

Czyliżby to nie był już wielki czas pomyśleć, aby stworzenia te Boskie z przedmiotów gabinetowych zamienić na przedmiot rozumnego gospodarstwa. Gdzieindziej nie gardzą niczem, co może stanowić dochód poboczny i zwiększyć wywóz za granicę; a w Wielkopolsce, w okolicach Gniezna produkcya raków sztucznie rozmnażanych i tuczonych pomnaża dochody obywateli naszych o parę tysięcy talarów rocznie. Na Zachodzie, w restauracyach paryskich *les ecrevisses de Gnesen* należą na jadłospisach do delikatesów i idą o lepsze w cenie z homarami i ostrygami.

W Galicyi jakaś dziwna ospałość. Znamy obywatela, skąd inąd nader postępowego i nakładowego gospodarza, który posiada nie opodal pałacu i parku dziewięć stawów zarybionych a sprowadza na wilią ryby z Krakowa, bo włók zepsuty i nie ma komu zająć się utrzymaniem należytem przyrębli.

Z rzek naszych najsłynniejszą pod względem warunków dla ryb, wzbudzającą zazdrość niemieckich ichtyologów, jest niewątpliwie Dunajec o malowniczych swych wybrzeżach. Łososie dunajeckie mają szeroką sławę jako niezrównane — a znamy nad Dunajcem trzy dwory, które wydzierżawiają razem prawo rybołowstwa żydowi handlarzowi łososi za ryczałtową sumę 20 złr. (z jednej wsi 12 złr., z drugiej 7 złr., z trzeciej 1 złr. 5 ct.); przestrzeń wybrzeża wynosi dwie mile, żyd rybakom płaci wódką i tytoniem — a sprzedaje rocznie z górą 1000 łososi przeciętnie po 5 złr. sztukę — nie dziw więc, że już zamyśla niebawem zakupić jednę z wiosek naddunajeckich i osiąść we dworze.

Lubo nasze biura statystyczne nie zajęły się dotąd zebraniem dat w tym kierunku — dzięki pracom p. Nowickiego, a także i skutkiem zwróconej przez zagranicznych ichtyologów uwagi możemy obliczyć w przybliżeniu, jakie skutkiem tej prywatnej i publicznej u nas indolencyi, marnujemy w wodach naszych skarby.

Podejmując jakąkolwiek gałęź zaniedbanej produkcyi — zapytać się najpierw trzeba, jaka tego przedmiotu może być w kraju konsumcya. Największym ryb konsumentem jest ludność żydowska, na każdy szabas w najuboższych nawet rodzinach idzie na głowę 10 deka ryby w przeciętnej cenie 50 centów, co na 52 szabasów wynosi rocznie 1,560.000 złr. kon-

sumcyi rybnej. A już sama wilia w rodzinach katolickich, rachując tylko wyższe stany, spożywa ryb za pół miliona w przybliżeniu. Chłop polski kupuje śledzie morskie, bo najtańsze; gdyby krajowa produkcya ryb sprowadziła obniżenie ceny, zaniechałby śledzia dla pospolitych gatunków miejscowych ryb — a niemała to rubryka importu, bo Galicya spotrzebowuje rocznie 62.500 beczek śledzi — za co płaci obcym handlarzom 1,875.009 złr. Chodzi więc razem o zaopatrzenie konsumcyi krajowej i zaoszczędzenie milionów wychodzących rocznie za granicę — lubo rybołowstwo galicyjskie mogłoby także liczyć i na eksport. Niezmierny już jest dziś popyt o karpie, łasosie, pstrągi i sandacze galicyjskie z Niemiec i zbyt nader łatwy. A zaiste są choćby te miliony na własną konsumcyą, nie licząc widoków eksportu, dla ubogiego kraju nie do pogardzenia.

Przestrzeń wód galicyjskich wynosi 280.445 morgów — śliczny to warsztat do roboty. Mamy 56 gatunków ryb i wolny wybór dla różnych wód — chów ryb już doskonale zbadany, tylko korzystać z tej znajomości w zastosowaniu do wód naszych; śliczny materyał do pracy na tym warsztacie.

Jeśli gospodarstwo stawowe w niektórych okolicach utrzymuje się samo z siebie, to rybołowstwo rzeczne wymaga opieki prawa, nakładów zbiorowych i organizacyi krajowej.

Co do ustaw i nasze nieszczęśliwe ryby są dotąd ofiarą tej samej kwestyi kompetencyi konstytucyjnej, o którą tak często rozbijają się chęci reformy w szkole lub w administracyi. Rada Państwa uchwala zasady, Sejm zastosowanie — to też w ustawie wodnej państwowej przeważa wzgląd na interes przemysłowców bez uwzględnienia interesow rybactwa — a ustawa sejmowa z 1882 r. okazała się, jak wiele innych, niedokładną, niewystarczającą.

Na wiecu rybackim w Wiedniu bar. Gostkowski wykazywał niezbędność zmian w ustawodawstwie wodnem ze względu na rybołowstwo — a więc: *a)* aby przy koncesyach na spław drzewa zapytywano uprawnionych do rybołowstwa i uwzględniano ich interesa; *b)* aby zapobiegano zatruwaniu ryb odpadkami z fabryk, i wstrzymywaniu ich przeciągu przez jazy — a wreszcie *c)* aby zaradzono niszczeniu stanu rybnego w czasach powodzi. Ten ostatni punkt winien wejść w ogólny plan regulacyi rzek.

Materyał do ustawy o rybołowstwie jest gotowy. Jest podstawa prawna, na której oprzeć się winno określenie stosunku gminy i dworów tak w udziale na nakłady, jak w rozdziale dochodów za pomocą wspólnej administracyi lub wydzierżawiania rybołowstwa.

Jest i podstawa naukowa, zasługą Dr. Nowickiego — a przybyła nowa siła w mężu, co zdobył sobie sławę zbadaniem jezior i wód sybiryjskich, Dr. Dybowski, profesor uniwersytetu Lwowskiego, ważne mógłby oddać tu usługi.

Ale niedość zbadać bogactwo wodne, niedość rzucić narybki do rzeki, trzeba spopularyzować wiadomości niezbędne, wykształcić fachowych ludzi i potrzeba nakładów — miejscami skrzyń przy brzegach rzek — to znów zasilenia dna rzeki w pierwiastki dla pożywienia i rozmnażania się wodnych mieszkańców niezbędne.

Ustawa zostanie kawałkiem papieru, nakłady rzuceniem pieniędzy do wody, jeśli równocześnie nie zostanie zorganizowana odpowiednia administracya gospodarstwa rybnego w kraju.

W pierwszym rzędzie żandarmerya, jedna z najlepszych instytucyj, jaką posiadamy — okazała gotowość rozwinięcia chwalebnej czujności dla dopilnowania ustawy rybackiej. Komenda udała się do Dr. Nowickiego po instrukcye.

Instrukcya drukowana tu nie wystarcza, niedość nazwać rybę, trzeba ją pokazać *in natura*, zwłaszcza, że w różnych okolicach zmienia ona między ludem nazwisko.

Niedość także pouczać lud w przemowach przy zarybianiu i nie wystarczą prelekcye wędrowne. Podobnie jak tradycya pewnych rzemiosł między ludem, jak ród pasieczników i sadowników zniknął po wsiach, tak i ród starych rybaków wymiera.

Tradycya już nie wystarcza, trzeba wykształcić nowych ludzi, nauczyć na nowo ludność, jak ma gospodarować po wodach.

Kursa gospodarstwa rybnego — jak zapewniają powagi w tym przedmiocie — nie wymagałyby jak kilku tygodni praktycznej instrukcyi. Urządzenie takich kursów nie pociągałoby bynajmniej znaczniejszych kosztów, gdyby tylko praktycznie do nich się zabrano. Byłby to zaś pierwszy i niezbędny warunek rozszerzenia racyonalnego gospodarstwa rybnego, gdyż bez ludzi dokładnie z niem obeznanych, trudno myśleć o jakimkolwiek kroku naprzód w tym względzie. Jeżeli znajdą się tacy ludzie, to chociażby wśród właścicieli wód brakło ducha inicyatywy i przedsiębiorczości, przyjdzie z łatwością do zawiązywania się spółek rybackich, które ogólną indolencyę na tem polu mogą najskuteczniej przełamać. Do zawiązywania tych spółek nie brakło ochoty a nawet i kapitału wkładowego na niezbędne inwestycye, ale wszystkie projekta rozbijały się o brak ludzi fachowych, którymby można powierzać prowadzenie gospodarstwa rybnego, założonego na większą skalę. Spółki rybackie zaś, wydzierżawiając pewne przestrzenie wód od właścicieli, otwarłyby im znaczne nieraz, dotychczas zupełnie nieznane źródła dochodów, nawet bez żadnych starań i zabiegów z ich strony.

Skoro zaś mowa o kursach rybackich, godzi się również nadmienić, że one prócz wykształcenia fachowych oficyalistów dla gospodarstwa rybnego, umożebniłyby zarazem niezbędną kontrolę władz w wykonywaniu ustaw i przepisów o rybołowstwie. Już po dwakroć stawiały nasze oba Towarzystwa rolnicze, ważny dla gospodarstwa rybnego postulat, domagając się ustanowienia inspektorów rybackich, ale i ten projekt wówczas dopiero może być spełniony, skoro kursa rybackie dostarczą fachowych w tym względzie ludzi.

Ichtyologowie zagraniczni zwrócili już w sposób znaczący swoją uwagę na wody galicyjskie. Najwybitniejszym tego dowodem, że kongres rybacki w Dreznie przeznaczył 800 złr. na cele zarybienia rzek naszych, oddając je w ręce Dra Nowickiego. Marszałek krajowy, śląc podziękowanie za to, zapowiedział, że sprawa rybactwa będzie staraniem Wydziału krajowego i Sejmu. Wszelako rok powodzi stał się przyczyną, że petycye Towarzystwa Rybackiego wraz z innemi poszły do kosza ze względu na konieczne oszczędności.

Tuszymy atoli, że w programie ekonomicznego rozwoju i podniesienia gospodarstwa krajowego, Wydział krajowy i Sejm zapisze między innemi rubrykę rybactwa, i przyzna jej należne miejsce. Z zabiegów kilku jednostek stanie się rzecz sprawą publiczną. Jeżeli gdzie, to w tym względzie przydałaby się ankieta fachowa, przez Wydział krajowy zwołana, którąby z potrzeb gospodarstwa rybnego zdała sobie trzeźwo sprawę i szerszej skutecznej akcyi szczegółowej program wytknęła. A spieszmy się, żeby nas obcy nie ubiegli i nie za-

rzucili swych sieci w nasze wody, jak już od dawna ziemię z pod nóg nam wyrywają.

Gdy zaś gospodarstwo rybne w kraju, dzięki skutecznej opiece Marszałka i Wydziału krajowego rozwinie się w całej pełni i wody nasze zamieni w źródło marnowanego dotychczas bogactwa, wówczas przy każdej wilii będziemy mieli sposobność podziękować zacnym opiekunom gospodarstwa krajowego serdecznym toastem za ich zdrowie i pomyślność.

Krajowe Towarzystwo Rybackie w Krakowie.

Zastanawiając się w poprzednim artykule („Czas“ nr. 280.), nad sprawą rybacką w naszym kraju, przedstawiłem w krótkości: na jakim gruncie rozpoczęło Towarzystwo swoją działalność; co zrobiło przez lat sześć pod względem naukowym, praktycznym i prawnym; w jaki sposób starało się utrwalić swoją akcyę, tem samem i rzeczywiste dobro kraju i jaki wreszcie stan obecny jest tych usiłowań.

Powiedziałem tam ostatecznie, że dotychczasowe usiłowania Towarzystwa przedstawiają się jako poszukiwania nad wynalezieniem najlepszej, najodpowiedniejszej drogi dla działalności rybackiej; że są one z jednej strony oświadczeniem, iż dotychczasowa droga nie jest dobra i pewna — z drugiej, że nowa droga nie jest jeszcze należycie narysowana. A oto, w jaki sposób rzecz ta bliżej się przedstawia:

Towarzystwo Rybackie założone zostało u nas na wzór podobnych za granicą. Ale jak bywa z wieloma rzeczami i obcemi, do nas przenoszonemi, tak się stało i z Towarzystwem Rybackiem. Tam inni ludzie, inne siły, inna gleba, inne warunki; u nas również wszystko inne. Choć więc cel i zadanie Towarzystwa zostało należycie przeniesionem i pojętem, choć organizacyę rozwinęliśmy pono lepszą, niż mają towarzystwa niemieckie — to jednak w wykonaniu, a bliżej w utrwaleniu samego celu sprawy nie zdołaliśmy zrobić dotąd tego, czegoby dla samej sprawy i dobra kraju życzyć należało.

Jeżeliby jaka sprawa potrzebna była do zadokumentowania, że w charakterze naszym spoczywa straszna wada: nagłego zapalenia się do czegoś, a jeszcze prędszego chłodnięcia, obojętnienia — to sprawa Towarzystwa Rybackiego wyśmienitym może być na to dowodem. W roku 1879 zostaje założone Towarzystwo przez jedenastu ludzi. W roku 1880 liczy 680 członków i posiada prócz centralnego krakowskiego zarządu, 20 reprezentacyj (oddziałów) na prowincyi; w roku zaś 1884 liczy członków 270 i tylko 5 oddziałów, z których jeszcze nie wszystkie dają prawidłowe znaki życia. Skąd to pochodzi? jaka tego przyczyna?

Niektórzy uważają, że przyczyną tej wady naszej jest ogólna bieda, jaka dotyka Galicyę Być może, iż jest tak w czem innem, lecz nie zdaje mi się, aby tutaj tak było. Muszę bowiem powiedzieć, że Towarzystwo w pierwszych czterech latach swej egzystencyi dostało przeszło cztery tysiące złr. różnych subwencyj; prócz tego miało po kilkaset złr. rocznie wkładek od członków. Wkładki te, jako dwureńskowe rocznie, członków zubożyć nie mogły. Towarzystwo też nie było bez funduszów — nie brak przeto środków materyalnych był przyczyną osłabienia akcyi rybackiej, ale, rzecz jasna, coś innego.

Nie może być w tej chwili zadaniem mojem wdawanie się w badanie tego rodzaju fenomenów. Ważna ta sprawa patologii naszego społeczeństwa zadalekoby nas zawiodła. Nie mogłem jednak całkiem pominąć tego, co się samo niejako nasuwa, i co było i jest potrzebnem do poparcia naszego zapatrywania na sprawę rybacką w Galicyi.

Jeżeli więc nie same li materyalne okoliczności osłabiły akcyę rybacką; jeżeli jéj nie mogę się dopatrzeć również w braku samego prawa, bo przy ustawie ochronnej, jaka jest, i dotychczasowym stanie prawnym nie jedno więcej można było zrobić — jak to zrobili ci, którzy chcieli — to powiedziałbym, że może głównie brak zrozumienia i wiary w pożyteczność działalności około rzeczy małych, choć z małych powstają wielkie; że brak poczucia obowiązku dla dobra własnego, a ztąd i odpowiedniej fachowej wiedzy; że lekceważenie poniekąd własnej działalności w myśl zakorzenionej zasady: iż bez jednego żołnierza wojna się obejdzie — że to głównie doprowadziło do minimum nasze Towarzystwo. Przekonanie to tem więcej zdaje mi się słusznem, że tak samo zapatruje się nieznany autor wybornej P o g a d a n k i w i l i j n e j o r y b o ł o w s t w i e którą każdemu gospodarzowi, a w szczególności właścicielowi wód polecić można.

Wobec tego musimy powiedzieć, że jeżeli do korzystnej i trwałej działalności tak na drodze indywidualnej, jak asocyacyi, jeszcze nam daleko, to funkcye podobne, o ile tylko jest to możliwe, powinny przejąć te osoby, które, że tak powiem, stoją na straży kultury krajowej, i które naturą swą i organizacyą, środkami i kontrolą, większą i skuteczniejszą przedstawić mogą rękojmię. Któż więc winien czuwać nad kulturą rybną w naszym kraju? — kto ją pielęgnować i rozwijać?

Już wtedy, kiedy to niby Towarzystwo najświetniej stało, bo w roku 1881, wypowiadał Zarząd, że różne okoliczności wypychają nas z toru pierwotnie zamierzonej pracy i okazują potrzebę przekazania głównej akcyi rybackiej, albo właścicielom wód, albo Towarzystwom rolniczym. Zdanie to wygłoszone było już po próbach łączenia się, t. j. przystępowania okręgowych Towarzystw rolniczych do Towarzystwa Rybackiego. Tego rodzaju bowiem związki — choć miały cel konkretny: kultury rybnej, skończyły się jednak tylko niby zaszczytem dla Towarzystwa Rybackiego, o który temuż wcale nie chodziło. Rzeczy samej wcale przez ten związek nie posunięto; kraj przez to nic w sprawie rybackiej nie skorzystał; jedna strona i druga nawzajem się zawiodły, bo każda w tym związku myślała, aby ciężar zepchnąć ze siebie. I rzeczywiście skończyło się na tem, że ta, która zaczęła, musiała jak bądź — ciągnąć dalej sama jedna.

Po tych niefortunnych próbach, Zarząd Towarzystwa Rybackiego, widząc usuwający się grunt, powziął myśl, aby zaprowadzić stosunek odwrotny, t. j., iżby nie Towarzystwa rolnicze przystępowały do rybackiego, ale, aby rybackie przystąpiło na członka do rolniczego w Krakowie. A gdy zgromadzenie ogólne Towarzystwa Rybackiego, zapewniane o ciągłym świetnym stanie Towarzystwa, nie chciało się zgodzić na takie połączenie, równające się dobrowolnemu samobójstwu, odesłało wniosek jeszcze raz do Wydziału, w tem mniemaniu, że dobrze się zasłużyło dla sprawy rybackiej w kraju.

Tymczasem rzecz ta cała była dla zgromadzenia tak niejasną, jak niedostatecznym był i jest rezultat postąpienia Wydziału, względem poruczonej mu przez walne zebranie sprawy.. Rezultatem bowiem owych ostatecznych rokowań stanęło to, że prezes Towarzystwa Rybackiego wszedł do centralnego komitetu okręgowych Towarzystw rolniczych w Galicyi zachodniej i został przewodniczącym sekcyi rybnej tamże założonej. Ale

ani żadne okręgowe Towarzystwo rolne akcyi rybnej przez to u siebie nie zainaugurowało, ani Towarzystwo Rybackie z żadnem właściwie się nie połączyło. Powstało coś całkiem innego, ale nie to, o co chodziło; powstało mianowicie na początku to, coby powinno być odłożone na koniec przy innych okolicznościach, bo centralna w komitecie sekcya rybna sekcyj rybnych — nieistniejących.

Już to, nie wiedzieć dlaczego, ale zdaje mi się, że głównie dla owej naszej niewiary w korzyść skromnej pracy i lekceważenią jej, i dla idącej za tem ospałości — to, co gdzieindziej zaczyna się od dołu, u nas zwykle od góry. Tak się też stało i z owym ostatnim związkiem. Zarząd Tow. Rybackiego, widząc, że trudnoby mu było przeprowadzić rzecz od dołu, zaczął i uorganizował akcyę w górze, jakby dla zadokumentowania, że u nas prawie wszystko, a nieraz to, co najkonieczniejsze, niemal przebojem wprowadzać trzeba. Ileż to już było podobnych faktów! ile ich będzie jeszcze? Może to droga opaczna, ale jakaż pozostaje inna tym jednostkom, które korzystną działalność na cały kraj odrazu rozszerzyć pragną? Innej — nie ma Gdy się to zrobi, dopiero zwolna trzeba potem zstępować na dół, i w dole dmuchać i żarzyć ową iskrę ożywczą. Tak się też stało i ze sprawą rybacką.

Krakowskie okręgowe Towarzystwo rolnicze uchwaliło w dniu 16. Grudnia 1884, na wniosek p. Szybalskiego, prócz istniejących już sześciu sekcyj, jeszcze jedną, mianowicie sekcyą r y b n ą. Wprawdzie istniała podobna już przed założeniem Towarzystwa rybackiego w Towarzystwie rolniczem w Wadowicach, i istnieje dotąd pod światłem kierownictwem jej przewodniczącego, p. Naimskiego. Ale założenie obecnej przez Towarzystwo rolnicze krakowskie wśród innych powstało okoliczności. To też stało się, mojem zdaniem, to, co całej akcyi rybackiej właściwą może dać podstawę; co przy naszem usposobieniu jedynie może jej zapewnić przyszłość. Uchwałą tą sprawa rybacka w właściwe przechodzi ręce, bo zostaje postawiona pod ciągłą pieczę stałych organów; bo zostaje zrównaną z innemi gałęziami kultury krajowej; bo zostaje wprowadzoną w ścisły związek z właścicielami wód; bo nakoniec uznaną przez to zostaje niejako oficyalnie jako ważna gałęź gospodarstwa krajowego Mimo bowiem wszelkich wysiłków Towarzystwa Rybackiego, sprawa rybacka była dotąd uważaną jako rzecz sportu, zabawy, a nie ważnej i mozolnej pracy. Krakowskie Towarzystwo rolnicze, wcielając tę sprawę do zakresu swej działalności, bardzo dobrze się zasłużyło. Teraz też kolej na inne okręgowe Towarzystwa rolnicze. A gdy to zaprowadzą podobne sekcye u siebie, sekcya rybna w komitecie centralnym będzie miała podstawę i znaczenie.

Jakoż kwestya połączenia się Towarzystwa Rybackiego z Towarzystwami rolniczemi, o której niegdyś myślano, mojem zdaniem, jedynie całkowitem przejęciem akcyi rybackiej przez te ostatnie skutecznie i korzystnie zakończoną być może. Rozważywszy bowiem tę sprawę bliżej, uważam, iż jest nawet niemożliwem przeprowadzenie jakiegoś innego stosunku: jeżeliby bowiem indywidualność obu stron zachowana być miała, natenczas albo powtórzyłoby się to, co już było, nie dając żadnych rezultatów, albo powstaćby musiała jakaś gospodarka Towarzystwa w Towarzystwie, co wątpię, aby zaprowadzić się dało.

Przejęcie więc akcyi rybackiej przez Towarzystwa rolnicze, jeżeli z jednej strony pociągnie za sobą rozwiązanie się Towarzystwa Rybackiego, to z drugiej rzecz samą na właściwe wprowadzi tory. Towarzystwa rolnicze zajmując się gospodarstwem rolnem, uprawą chmielu, pszczelnictwem, sadownictwem, chowem bydła, koni, trzody i drobiu, najsłuszniej też i hodowlą ryb zajmować się mogą i powinny. Mają one po temu cały aparat urzędowy i odpowiednią powagę; mają wspólność interesu swych członków, właścicieli wód; komitet ich centralny występuje, jako uprzywilejowana władza. Tego wszystkiego nie ma Towarzystwo Rybackie.

Wprawdzie wiadomą jest rzeczą, że nasze Towarzystwa rolnicze nie grzeszą zbytnią akcyą; że nieraz wiele z owych sekcyj jest tylko na papierze, a w rzeczywistości mało się robi. To jednak nie osłabia bynajmniej zdania mojego, ale zdaje mi się umacnia je nawet, bo składa na jeden organ właściwą mu czynność, odejmując mu tem samem możność oglądania się na osoby trzecie. Rzeczą zaś już będzie kontroli publicznej i komitetu centralnego, aby założone sekcye spełniały swój obowiązek. Obecność teraźniejszego przewodniczącego sekcyi rybnej w komitecie może być pewną rękojmią, że sekcyom rybnym Towarzystw okręgowych nie zabraknie, ani na życzliwem poparciu, ani na pouczających wskazówkach i umiejętnej inicyatywie. „Zebrane wiadomości o naturze wód naszych, rozsiedleniu ryb i stosunkach rybackich, jakkolwiek jeszcze nie zupełne, niemniej przeto stanowią poważną podstawę do działania, albowiem wskazują one, gdzie i co ma się czynić dla podniesienia gospodarstwa rybnego, gdzie ten lub ów czas ochrony dla ryb ustanowić, jak wody krajowe na rewiry podzielić, nakoniec, jakie wnioski przygotować co do przyszłych układów międzypaństwowych, w sprawie uporządkowania rybołowstwa na wodach wspólnych i granicznych". (Okólnik III. Tow. Ryb.).

Te rezultaty Towarzystwa Rybackiego, obok tu i ówdzie podniesionej przezeń praktycznej działalności, przedstawiają sprawę rybacką dla Towarzystw rolniczych jako całkiem dojrzałą, którą one przejąć i rozwijać dalej dla pożytku ogólnego powinny.

W ten sposób przedstawia się dla mnie sprawa rybacka w naszem Towarzystwie po sumiennem jej rozważeniu. Jeżeli też wypowiedziałem zdanie, któregoby ktoś z szanownych Członków nie podzielił, to starałem się jednak uzasadnić je przeszłością i stanem obecnym sprawy rybackiej. — A teraz powiem, że, jak sam dawniej, widząc rzecz tylko zdaleka i po wierzchu, najmocniej byłem przeciwny łączeniu się Towarzystwa naszego z Towarzystwem rolniczem, a tem więcej jego zwinięciu; tak dziś oparty na sile faktów, sądzę, że tylko przejęcie akcyi rybackiej przez Towarzystwa rolnicze zupełnemu jej upadkowi zapobiedz może. Widzieliśmy, jak siły i chęci Towarzystwa Rybackiego słabną, inicyatywa i asocyacya prywatna zawiele ma przeszkód i zasłaby grunt; tylko oficyalne traktowanie tej sprawy i podniesienie jej do znaczenia odpowiedniego w przyrodzonym stanie jej bogactwa może przynieść dla kraju te owoce, jakich on ma prawo wymagać, i do wytworzenia których każdy, zdaje mi się, dopomódz powinien.

Dr. A. Molicki.

